

STEFAN GRABIŃSKI
**W POMROKACH
WIARY**



Stefan Grabiński

W pomrokach wiary

Z wyjątków

W pomrokach wiary

Z wyjątków

Copyright © for the cover illustration by Julien de Marchi, used under the Creative Commons Attribution-Share-Alike license 3.0

Redakcja: Paweł Dembowski
Skład i korekta: Paweł Dembowski i Katarzyna Derda
Projekt graficzny okładki: Mariusz Cieśla

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

ISBN 978-83-64416-28-6

Wydawca: Code Red Tomasz Stachewicz
ul. Sosnkowskiego 17 m. 39
02-495 Warszawa
<http://www.bookrage.org>

Puszczyk

Otom jest stary włóczęga, sterany pielgrzym bezdomny. Wiosenne świty młodości mojej pogasły dawno; dziś sklepi się nad osędziałą, zwichrzoną wiatrami drożnymi głową szary zachód odarty z pokrwawia słońca, co przerażone starczym chłodem skryło swe ognie gdzieś za zwałami burych chmurzysk. Czasem tylko wyśliźnie się przez szczeliny duszy namiętny płomień przeszłości i twarz mi szkarłatem okraśli; wtedy i mnie starego zdziwi niewczesny i sam zawstydzony gaśnie prędzej jeszcze, niż rozbłysnął: uśmiechnę się zjadliwie i idę dalej... Dalej, naprzód w tę dal bez końca, co sinym rąbkiem się znaczy; idę po polach rozłogich, jarach przepastnych i debrach strzępy mych szat zostawiając po krzaczach przydrożnych. Wiatr porywa je i roznosi spuściznę po nędzarzu hen, hen po świecie. Przede mną płożą się w kolejnej przemianie niwy ludzkie, bory i lasy, pstrzą chaty wiejskie, stożą wieżyce miast; lśni się, migoce, szaleje i płacze cały ten wielki, boży świat... A ja wciąż w drodze — jak pies bezpański odtrącony od domowego ogniska wałęsam się po rozdrożach...

Krzyżowe drogi! Rozstaje!... wichur się tułacz po was kołysze, wygrywając mi jesienną piosenkę życia. Czasem mnie spije ten luty śpiew, a wtedy idę przed siebie w spiżowej zadumie nic nie widząc, a on mi zimnym tchem łzy ociera, co skądś nagle zebrały się pod obrzękłą powieką...

Stary, dziki włóczęga...

Podłe życie miałem — podłe i nędzne! Ludzie mnie znienawidzili — jam im przekleństwo piastował. I tak nienawiść wielka i ból wezbrały mi w sercu, że straszny się stałem szczęściu ludzkiemu, sam tułacz nieszczęsny.

— Dzikie, straszne masz oczy — mówili mi ludzie od dziecka. Tak straszne mi oczy dała matka-natura. Bo oczy te miały przeklętą siłę: obudzały przyczajoną w zakątkach duszy bliźniego świadomość rychłego nieszczęścia; oczy moje rozpętywały uśpione w pieleszach duszy przeczucie. Jak hiena wietrzy po cmentarnych ugorach padło i trupy, tak

ja wyczuwałem z dala ofiary złej doli; wiedziony magnetycznym pociągami zbliżałem się do tych wyklętych ziemi, by ich już odtąd nie opuścić, aż się spełniło to, co mi demon jakiś zwierzył w głębi duszy. Sam przy tym cierpiałem jak potępieniec. Była to jakby wielka choroba: nie miałem chwili wytchnienia, męczyłem siebie i owych nieszczęsnych, wokoło których krążyłem jak sęp krwiożerczy, hipnotyzując swe ofiary pożądliwym okiem; zataczałem kręgi coraz bliższe i bliższe, pasąc oczy ich bezdennym strachem; byłem nieodłącznym towarzyszem w nocy i we dnie, nawet we śnie panowałem nad nimi wszechwładnie w upiornych marzeniach... Aż się dokonało... przecucie przyoblekło w rzeczywistość, aż padł grom... Wtedy odchodziłem... innych uświadamiać. Dlatego jest przeklęty od ludzi i ziemi i znamię Kaina czoło pali. Sam zatraceniec — innym ztratę i nieszczęście głoszę.

Lepiej ty mnie ziemio wyrodna pochłoń, bo wiedz, żeś potwora pomiotła!...

Lepiej ty mnie wodo jasna zatop, bo wiedz, że upiora krzepisz!

Lepiej ty mnie wicherze polny ponieś w przepaść, bo wiedz, że wyrodka chłodzisz!

Piosnkę nuczysz, piosnkę, starą piosnkę — dumę: Błąka się wicher po polu — hej! tumany stepowe, wichuro zaciekła!... w drogę, w przestwór, w dal!...

Był dżdżysty wieczór jesienny. Niebo nasunęło stalową przyłbicę chmur, tylko od czasu do czasu wyzierał sinym, osowiałym okiem spod odwiniętych wiatrem powiek. Panował obojętny ton, tak przygnębiająco nijaki i jednostajny jak szara, rozziewana nuda. Drobnym deszczykiem zacinał bezustannie; po badylach i sztywnych prętach rzeźił wiatr, wpadał w pożółkłą już pierzeję topól wzdłuż gościńca, zawodząc boleśnie. Z przeciągłym sykiem wrzynał się w nastroszone ich wirchy i za każdym razem wyczesywał całe garście popstrzonych czerwonymi cętkami liści; znów porywał je, skręcał w tuleje lub opadłe na ziemię pędził długim, szeleszczącym szeregiem po trakcie. Przydrożny wiatrak chwycił go poza topolami na czarne ramiona manekina i poszedł w taniec: zakręcił, zawrócił warczącego młyńca i stanął.... Wiatr ześliznął się lekko po

skrzydłach... wypadł z czarciego młyna, pocwałował szczerzącym drapieźną szcęgą rżyskiem i zapadł w jarze... przycichło...

Zmokły, przeziębły szedłem dalej. Z lewej krzyż omszały się kłonił; na krzyżu kruk. — Zakrakał, zakrakał i odleciał... Minąłem krzyż. Na przełaj przez pola włókł się wychudły pies; zapadłych boków zwierzęciaomalże nie przebijały twardo sterczące żebra. Żal mi się zrobiło psiska: zbliżyłem się by mu rzucić głąń czerstwego chleba, ale w tejże chwili strach dziki odepchnął mię w tył: z zaczerwienionych gorączką ślepiów bestii ziała wściekłość. Odszedłem na bok.

Popędził dalej każąc drogę krwawą pianą.

— Wściekły pies — mruknąłem przez zęby, odruchowo chwytając za pierwszy spotkany kamień.

— Głupcze — zasyczało coś w odpowiedź — głupcze, wszakże to twój kum — brat serdeczny.

Zziąbłem teraz tak, że z trudnością podnosiłem zgrabiące stopy. Mijając małą dąbrowę zauważyłem pomiędzy odartymi z kory pniami na polanie gromadkę ludzi przy jarzącym się ognisku. Mleczny, ciężki dym wysuwał białe ssawki spoza pęków chruściaków, uschłych gałęzi i liści składających watrę i pełzając miękkim ciałem lizał ziemię; omotywał węzowym splotem dębaczki, kłębił się w wykrotach, pieścił drapieżny wdzięk tarniny i ostów.

Poprosiłem ludzi grzejących się o miejsce przy ogniu. Byli obdarci nie gorzej ode mnie i wyglądali podejrzanie. Zaczepieni spojrzeli na mnie ciekawie z niedobrym błyskiem w zuchwałych oczach, ale spostrzegłszy nędzarza, uśmiechnęli się drwiąco i z lekceważeniem. Starszy mężczyzna o wyrazie ponurym wycodził z grymasem:

— Nie ma miejsca. Poszedł won do biesa!

Zawróciłem na drogę. Przeciągły śmiech szyderstwa, urągliwy, kłujący szedł mi w tropy i długo jeszcze, długo towarzyszył zjadliwym chichotem.

Tymczasem zrobiło się jeszcze zimniej. Deszcz zlewał całe upusty na grząską od wilgoci ziemię; długie, łzawe struny rozpięły się między zasępionym sklepem niebios a splekanymi polami; wiatr rwał je co chwila, rozpylając w drobne krople i siekł mokrymi warkoczami dżdżu przydrożne drzewa. Pociemniało gwałtownie: ponury zmierzch jesienny kroczył szybko z przesłoniętą potworną dłonią licem po

rozsłochanym świecie. Tylko tam daleko, tuż przy poziomie krwawił się zachód; ale i ten zakryły mi wrychle zsiniałe kotary chmur, zesuując się szczelnie nad purpurowym misterium słońca.

Z uczuciem ulgi zawróciłem z gościńca na boczną ścieżynę, by dotrzeć do wpół rozdartego kleciska, jakie się ukazało na uboczu. Zrazu czerniały mi tylko niewyraźne zarysy czegoś nikłego i zgarbionego. Z wolna kontur uwydatnił się silniej, kształty wyodrębniły i z mroków nocy wychynęła stara, na poły rozwalona cegielnia. Starucha pochyliła się niziutko, niziutko — tak, że mocno nadniszczony okap z gontów niemal dosięgał spróchniałym skrzydłem ziemi. — Naokół grunt był udeptany i twardy. Obchodząc cegielnię ze wszech stron szukałem dogodnego miejsca na nocleg.

Na razie był przynajmniej dach nad głową — ale co za dach!: raczej przetak; znać długoletnie ulewy nadgryzły gonty i tarcice, które podziurawione w rozpaczliwy sposób przepuszczały deszczówkę. Na ziemi wałęsały się miejscami odmioty cegły, szczyrzyły potłuczone czerepy, szczyrzyły porowate żuźle, odłamki szkła i pordzewiałego żelaziwa. W środku niewielka hałda przyszczyła się rudym tonem cegły zmieszanej z innymi odpadkami.

Postanowiłem urządzić się możliwie najwygodniej. Parę przegniłych dylów poprzecznych grożących obsunięciem za lada silniejszym tchem wiatru wyrwałem z dziurawej posowy, padając roztrzaskiwały się w drobne szczapy. Miałem tedy wyborne paliwo, przy czym zbyteczną okazała się hubka. Należało jeszcze zabezpieczyć się od coraz natarczywszej wichury. Tu i ówdzie pozostałe odpryski cegieł i opodal nieznaną ręką nagromadzone kamienie, posłużyły mi na wybudowanie ścianki ochronnej, opartej o jeden ze słupców, które podpierały szatro. Podobnie udało mi się utworzyć małe palenisko, czy raczej dół wyłożony po krajach cegłą i szutrem. Przy pomocy nieodstępnego krzemienia zarzegłem ognisko. Zakryty jako tako przed srożącą się szarugą, skurczony, zasuty w łachmany grzałem się. Gdzieś odgrzebana lecha suchego chleba złożyła się na wieczerzę. Żując z trudnością wpiłem oczy w drgający, niespokojny płomień... Dziwne jak ogień umie przykuwać do siebie! Można tak patrzeć godzinami bez myśli, bez ruchu. Podobny czar wywiera woda w żywiołowej postaci wielkich mas. Pamiętam jak raz siedząc nad większą rzeką nie mogłem oczu oderwać

od cicho kocących się fal; wzrok włókł się po nurtach i płynął razem. Uczuwałem gwałtowną chęć oddania się wodzie: słodkiego odpoczynku w łóżu rodzimym.

Innym razem zasnąłem ukołyszany zdradliwie chybotem zmierzwionych srebrną posoką bałwanów. Wtedy dziwne sny miałem — marzenia, których podobno zwykły sen nie użycza. Miałem wrażenie czegoś nieokreślonego, ogromnie wiotkiego, co przenikało wszechświat, przepływało całą mą istotę, łącząc ją ściśle z olbrzymim środowiskiem ziemi. Gibkie, prężne fale ciekły przez ciało, a w nich jakieś ruchy subtelne jak myśl, elastyczne jak piłka mrzały... Odczuwałem je, lecz nie zmysłami — te spały snem żelaznym, nieprzepartym — odczuwałem całym sobą, najdrobniejszymi włóknami nerwów, ich spletem tysiącwęzłowym rozpiętym w ciele.

Widziałem rzeczy dziwne, niepojęte: najskrytsze drgnienia świata nie uszły mej śledczej uwagi, przepotężna jasność rozświetlała przede mną kryjówki natury, ostępy niezbadane, do których może nigdy współbracia moi nie dotrą; widziałem z bystrością ostrowidza fatalny łańcuch przyczyn wstecz; ostrożnie, z nieubłaganą wynikliwością wyciągałem wnioski potworne a jednak — niestety! — prawdziwe!

I rozumiałem! ja — człowiek — wiedziałem!

A wszystko mi było obecnym: i przeszłość i obłądana przyszłość — jedna wielka ciągłość bez końca — zawrotne, błędne, groźne koło... I byłem i jestem i będę!...

A ciche fale biły wciąż miękko o zachwycone ciało, drgały, krzyżowały się, przenikały. .. A zmysły spały, a rozum — he! he! intelekt, ta mądra bestia — drzemał spity, bezsilny kat!...

W takich to chwilach wychylało też ohydną głowę z pomroki przyszłości i ono — to przekłete, nienasycone... nieszczęście... i wbijało mi swe szpony niezatartym śladem — gdzie? — nie wiem: przepajało całe jestestwo. I tylko ono, tylko jego świadomość i pamięć pozostawała po przebudzeniu ze snu, czy z zapamiętania. Lecz wtedy nie dawało mi spokoju, dusiło zmorą, dopóki nie spełniło się w upatrzonej ofierze. A mnie przypadła rola pośrednika: uświadamiałem... Klątwa i dopust na mnie!... Skąd i czemu!? — Ot tam drzewa gwarzą szumnie, tam wicher skowycze — spytam, może wiedzą...

Ogień trzeszczał i syczał, wyciskając pienisty sok z śliniącego się

drzewa. Spopielające drewnienka obsuwały się z szelestem na obie strony, wirował perz unosząc się ze zgliszczy. Dziwaczne cienie majaczyły po dylach, rozsiadały się po ceglach; długie, kosmate łapy sięgały drapieżnie po coś, wyciągały chwytne kłykcie, coraz chudsze, nerwowe — dalej... wyżej... cofnęły się. Jakiś stwór poruszał sennie potwornych rozmiarów łbem tam i na powrót, nudnie, jednostajnie. ... przeszedł w rodzaj koła rozpędowego: szalony obieg raz! drugi!... pękły dzwona... Wiotkie, wrażliwe macki rozstawiły zdradliwą siatkę cieniów: czyhają... jest! Zamroczyło coś, zamrzyło, znikło... Tam, tam nad wodą, nad zieloną... brr... co za cudna główka... rozplecionych włosów czar — sine, mokre oczy... uśmiech skrasiał ust korale, dziecię u łona... Co?!... Boże mój!... w topiel!.. oboje!!...

Oprzytomniałem. — Tuż nade mną pochylony mężczyzna wpatrywał się uporczywie w rysy mej twarzy; niespokojne oczy nieznanego wrzynały się we mnie z niepojętą natarczywością.

— Przepraszam — szepnął uchylając nieco podróznego kaszkietu, z którego ściekała woda na płaszcz gumowy — zdaje mi się, że przerwałem sen.

Na razie nie zdołałem skupić należycie myśli na odpowiedź.

— Widzi Pan — ciągnął niezrażony tym dalej — urządziłem się diabło niepraktycznie. Zawezwany do komisji sądowej jako rzeczoznawca wyjechałem razem z wszystkimi na miejsce zbrodni. Uważa Pan — pobito śmiertelnie chłopca zwyczajnie w karczmie przy niedzieli. Ot bydyło! Czaszka przez pół na potylicy... kołem z płotu.

Otóż po załatwieniu tej arcymięłej czynności, zostało mi trochę czasu przed powrotem. Podobno sędzia miał przeprowadzić pewne formalności ze sołtysem. Poszedłem tedy w las. Znasz Pan te strony — piękne bory, nieprawdaż? No i nie uwierzy mi Pan, zabłąkałem się najzupełniej, bez wyjścia. Tutejsi ludzie mówią, że w lasach omam chwyta... cha, cha! To też i mnie lichy jakieś zapędziło w głębie. Było już ciemno i deszcz siekł porządnie, gdy wkońcu wyostałem się krętymi manowcami na gościniec. Naturalnie zapóźno już było i za tęga zlewa, żebym spostrzegłszy Pańskie światelko nie miał Mu złożyć mego uszanowania... wszak nie wyrzucisz mnie Pan z przedziału?...

— Ależ samo przez się zrozumiałe, proszę bardzo — odparłem z widocznym wysiłkiem. — Zresztą przyznam się Panu, doktorze, że Go tu

oczekiwałem.

Spojrzał mi w oczy z wyrazem zdziwienia. Po chwili uśmiechając się pobłażliwie zauważył:

— Zdaje mi się nie możesz Pan opanować resztek snu, w jakim go zastałem. Swoją drogą niezbyt wesoło musiałeś marzyć. Mogłem chwilę studiować Jego twarz: zrazu nieokreślony uśmiech błędził koło ust, o! taki właśnie, jak teraz — potem błysk zachwyty i...

— No skończże już raz Pan!...

— Krzyknąłeś...

— Ja krzyknąłem!? Złudzenie! Wszystko złudzenie! Ja wcale nie spałem...

— To dziwne... chociaż... być może. Oczu nie zamknąłeś Pan przez cały czas ani na chwilę. Tylko że wyglądało to tak jakbyś mimo to nie spostrzegał mojej obecności: był to szklany, tępy wyraz. Powiedz mi Pan — nie doznajesz czasami...

— Doktorze! zostawmy to, proszę. Lepiej myślę zrobisz zdejmując przemoczony płaszcz i rozwieszając nad ogniem.

— Niech i tak będzie — odparł trochę zmieszany, zdejmując wierzchnią zarzutkę, którą następnie rozpostarł między łatami pod okapem. Dopiero teraz ujrzałem dokładnie młodego mężczyznę o twarzy pięknej, okolonej bujnym, ciemnym zarostem. Czarne, błyszczące wewnętrzną energią oko zdradzało odwagę i stanowczość. Wytworne, lecz bez wyszukania ubranie uwydatniało silne i zgrabne kształty. Cała postać oddychała jędrną niespożytą siłą młodości i szczęścia. Pogoda wyniosłego czoła i młody, zdrowy uśmiech przewijający się chwilami po wąskich ustach świadczyły o tym wymownie.

Patrząc nań doznawałem najrozmaitszych uczuć. Jedno przecież wybiło się ponad ten nieokreślony chaos. Oto czułem, że coś mnie z tym człowiekiem wiąże: a taka niewidzialna, podziemna struna; ogarnęła mnie niepojęta ku niemu czułość i pieczołowitość. Było w tym coś niezwykle wstrętnego: niby rozczulenie kata nad swą ofiarą. Chwilami ostry ból i litość dojmowały mi nieznośnie, wkrótce jednak ustępowały przed przemożnym uczuciem pierwszym. Złośliwy kurcz wykrzywił mi twarz, fałdując ją w szatański, demoniczny półwyraz.

Doktor tymczasem przytoczył do ogniska krągłak i usiadł naprzeciw rozgrzewając zsiniałe od chłodu ręce.

Chwilę zaległo przykre milczenie tylko ogień skwierczał zgryźliwie, szepteliły szumowiny drew... Wtem ciszę rozdarł przenikliwy głos puchacza, przewlekły, zawodzącą skargą...

— Czas już! — przecwałowało mi przez mózg w szalonym pędzie i zapadło w pomrokach duszy.

— Doktorze — podjąłem ochryple, nieswojo — Pan wierzysz w przeczucia?

Zadrzał. Ciemne oko utkwiło niespokojnie w moim:

— Przeczucie?... Nie wiem... doprawdy sam nigdy nic podobnego nie doznawałem. Są ludzie wrażliwi na takie rzeczy — inni nie reagują zupełnie.

— W takim razie trzeba im dopomóc — szepnąłem z piekielnym łyskiem oczu.

— Ależ pan oszalałeś! — zachnął się powstając wzburzony — na co!? dlaczego?!...

— Cha, cha! wyborny Pan sobie jesteś. Spytaj mimozy, czemu stula kwiaty na słoć, spytaj ptactwa, czemu spieszy na wyraj? To nieprzezwyjężona konieczność!

Doktor przemierzał cegielnię dużymi krokami, od czasu do czasu mnąc brodę wąską, niemal kobiecą ręką, na której średnim palcu połyskiwała w płomieniu ognia złota obrączka.

— A wiesz Pan, co to zawiść bogów, zemsta nagła i druzgocząca jak piorun przy promiennej pogodzie dnia? Dziś jesteś silny i mocny szczęściem, ale to się mści w czwórnasób! Pan nie masz prawa! Patrz tam w zbutwiałe doły życia! Czy widzisz te zropiałe dziąsła, próchnicę ciał, zgniliznę dusz? Czy słyszysz chrobot skażonych głosów, rżenie spiekłych gardzieli, poświst kończących krtani? Krew tłoczy się w arterie ciężko, ospale, żar praży trzewia, wnętrzości!

To wasze dzieło! To wy, wyście przechylili szali, wy podli, szczęśliwi! Lecz my przywrócim równowagę, my ludzie mroku, nieznani, my dzieci nocy, zaułków! Tak nam dopomóż Bóg!...

O jak ty ją kochać musisz... błękitnych oczu toń, miękkopłowych włosów zwój... O jakie ty spijasz czary ze szkarłatnych warg... rozszalałe tulisz łono do spalonych ust... i dziecię z nią masz... Ale drzyj przed wielką wodą, co drzemie ustała: taka rudą zaciągnięta rdzą... Bo czasem zły urok w niej uśpiony lubi zwabić... w dół... a rankiem pod jutrznianą poświatać

bieleje opity wodą, wzdęty trup... perłowych zębów połysk lśni pośród nadgniętych warg... A może i nic nie wymiecie staw... tylko w białe, srebrem tkane noce cichy na topieli plusk... pomiędzy rokiciną świecą sperlone rosą oczy martwicy... obłe ciało łuską gra... dzieciны tęskny szloch...

Przystąpił do mnie ze zmienioną straszliwie twarzą, blady, z kroplami zimnego potu na czole:

— Słuchaj ty stary kruku, zwyrodniały żebraku — krzyknął z pianą wściekłości czy bezdennego strachu — mógłbym cię zabić jak psa!...

Odepchnąłem go lekko ręką:

— Ni ty, ni nikt z ludzi! Tacy jak ja są bezpieczni przed zabójstwem. Bo należą, he! he!...no tak, do wybrańców ziemi, do wyklętych: bo na mnie swój znak położył Wielki Nieznajomy i nikt mnie tknąć nie może. „Bo ktoby podniósł rękę na Kaina, w siedmiokroć ukaran będzie”. Tu tylko w piersi piekło wre, tu szarpie wciąż krwi chciwy sęp. I w tym cała klątwa tkwi!... A teraz odejdz stąd!... już czas. Temu czoła nie stawisz. Tu większa władza moc: nie zdzierzysz. Może obaczym się wkrótce...

Władczym ruchem wskazałem mu drogę.

Odszedł..

Wwiercając wzrok w czeluście nocy, w których zginął, słyszałem długo jeszcze, jak po drodze potykał się, podnosił, ciężko włókł...

Potem zgłuchło. — Spojrzałem na konający ogień, na płaszczytnie rozdarty i w tę czarną noc... i skowyt serce zdjął...

Na świecie weselił się skąpany w czerwieni zachodzącego słońca pogodny, jesienny odwieczerz. Krwawe pasma światła wytryskiwały spod ziemi pławiącej się na krańcach nieboskłonu, by rozkociwszy się purpurową falą po zadumanych lewadach, łęgach, sianożęciach, bluznąć posoką w przycichłe lasy. Ze świeżo skoszonych otawisk wynikały wonie mocne a słodkie, z późnych potrawów szedł smętny głos ligawki. Tu i tam turlikały dzwonki niewidzialnych cielic. Po łąkach rozsiadły się stogi siana, poprzekrzywiały nastroszone czapy sterty, spodem rozścieliły rządками pokosy.

Zaogniona tarcza staczała się coraz niżej, brocząc coraz silniej. Była

chwila, kiedy się ten fatalny zjazd pod ziemię zatrzymał: słońce jakby zawahało, zachwiało — wszystkie swe twórcze siły skupiło i obrzucając żalobny świat szkarłatnym przepychem rozbłysło ostatkiem mocy ciepłej, błogosławionej. Była to uczta przedśmiertna, szalona orgia zamierającego życia, wysiłek wspaniały, królewski. Objęło gorącym spojrzeniem czerniejące zwartym wałem na wschodzie bory, wilgotne rosą wieczorną pola, pastwiska, zapaliło ognie w wieżyczce kościółka, zagrało smutno na twarzy włóczęgi-obłąkańca... i poczęło dokonywać drogi...

Byłem pod nieznaną mi wioską. Bezwładnie, ze zwieszoną głową przeszedłem pod Męką Pańską nachyloną nad gościńcem u wejścia do sioła. Tuż pod krzyżem wiła się szarym skrętem samotna ścież; odbiegła szosy i pruła wąską krajką darń wygonu. Wstąpiłem na koleinę z niewytłumaczoną ciekawością, dokąd też zawiedzie. Żelazna zaduma zagnieździła mi się w duszy, że nie byłem zdolny patrzeć na cudny wieczór, tylko z uparcie wbitym wzrokiem w szarzącą u mych stóp drożynę dążyłem przed siebie bez celu. A ścieżyna to biegła przed się prosto, to kluczyła na prawo, na lewo, w zygzak, znów wyprężała się pod linię i bielą, bielą bez końca. Kiedy nagle podniosłem głowę, miałem o parę kroków przed sobą parkan jakiegoś wielkiego ogrodu czy parku.

— A tak — pomyślałem — widocznie okrążyłem go po drodze i teraz zaszedłem z tyłu.

Domysł mój sprawdził się, gdy po chwili spostrzegłem w parkanie małą furtkę. Była lekko odchylona. Pchany niepojętą siłą otworzyłem ją na oścież: stare rdzą przeżarte zawiasy zgrzytnęły sucho zgryźliwie... Wszedłem do wnętrza. Uczucia, które wtedy wstrząsnęło posadami mej duszy, nie zapomnę nigdy. Rzecz szczególna: miejsce to wydało mi się znajome, nawet bardzo dobrze, choć byłbym przysięgł, że je pierwszy raz w życiu widzę. A przecież... Było w tym wszystkim coś więcej: oto po prostu czułem się u siebie t.j. właściwie na miejscu: znalazłem. Ale co, z tego sam sobie sprawy zdać nie umiałem. Równocześnie gwałtowny niepokój, który mnie już od miesiąca trawił, ustał nagle. Natomiast ogarnęły mnie pewnego rodzaju chłód i zawziętość. Czasem tylko na mgnienie błyskawicy przebijał skrzące skorupę strach, że sztywniałem mrozem ścięty. Lecz i to wkrótce mijało i byłem znowu przeraźliwie spokojny.

Stałem w pośrodku ślicznego ogrodu. O jakich dwadzieścia kroków lśnił złotem, opalem, skrzył się tęczowym blaskiem modry staw. Właśnie ukośne zrzuty promieni zachodu przeszywając gęstwę drzew spływały na ciche wody; od tych ogni zajęły się grzbiety fal i migotały skrwawionymi grzywami. Czasem ryba przysła złotą łuską rozbryzgując wodę w świetlane krople: powstawała stubarwna otęcz, igrała w słońcu przedziwnie i promienną kaskadą wracała w macierzyste łożo. Rozkoszne dreszcze marszczyły gładką powierzchnię i biegły wątlami brzdami do brzegów, skąd odbite, złamane rozsnuwały drgające otocze pian; te padały białymi błamami na nadbrzeżną murawę lub śliniły dłoniaste liści grzybieni. Wieczorny wiatr przeginał z wdzięczną lubieżą szypuły rokiciny, która chybcząc się rozłożystym ruchem odsłaniała las bielejących spodem łodyg toczonych, bez skazy i węzłów. Od szuwarów szedł silny obrzask surowizny i mącił zmysły. Zasuta w sity łódka kołysała się niby tanecznicą na wpół pleśnią obciążonych burtach. Za mocniejszym podrywem fal miotała się i biła z szelestem o badyle usiłując wydobyć się na środek jeziora; lecz wtedy łańcuch przytwierdzony do steru a drugim końcem do kółka u brzegu rozpręzał zardzewiałe ogniwa, by po chwili, gdy wiatr się przyczaił, opaść z brzękiem na dno korabia. Gdzieś zapomniane wiosło wystawało z boku i wśród podskoków łodzi prało rozstępującą się wodę na spienioną miazgę.

Kępy grzybienia i lilij wodnych tułały się tu i owdzie zbłąkane, samotne.

Staw obiegał szeroki, piaskiem wysypany deptak a dalej w następującym zwolna cieniu nurzały się krępe jawory, lipy miodowym tchem wonne, leciwe, osędzieliną mchu otulone dęby-brodacze; pomiędzy krzami skrywała wstydliwie biały srom brzoza.

Spod cienia jesionów wychylał się zgrabnie z bierwion sosnowych sklecony chłodnik. Po poprzecznych kratkach pięło się dzikie wino z ciemnoczerwonym odcieniem liści.

Zaglądnąłem do środka: mały dębowy stolik otoczony z trzech stron ławeczkami, na nim porzucona pełna smaku robótka, parę motewek atlasu, obok na ławce talerzyk z resztą ciastek, duża, czarnooka lalka w kacie; zapach perfumy w powietrzu, czy z koronkowej chusteczki zapomnianej na stole.

Usiadłem znużony włóczęgą. Teraz dopiero zwróciła mą uwagę ukryta pod stosem nitek jedwablin książeczka. Otwieram:.. pamiętnik, pismo drobne, kobiece, ostatnia kartka świeżo zapełniona...

— ...mój Boże! jaki też ten Stach kochany, lepszy nawet niż przypuszczałam nigdyś... Jutro jedziemy do... do... zgadnijcie!... nie wiecie? Tu powiem: daleko, daleko, bo aż do Neapolu, do kąpiel. Zobaczę morze. Morze wielkie, straszne, piękne. Jedziemy na całe długie trzy miesiące. Ciocia Zdzisia była tam przed rokiem i powiada, że pobyt śliczny, upajający. Pocziwy Stach! On to wszystko dla mnie robi. Mówi wprawdzie, że mu wyjazd koniecznie potrzebny dla zdrowia, ale ja już to wiem... Biedak tak się w ostatnich czasach namęczył... Lecz dziaduś obiecał przyjść z pomocą. Nieoceniony dziaduś! — Podobno jednak najbardziej z nas wszystkich uradowana Lutka. Gdy jej pierwszy raz powiedziałam, że wybieramy się nad morze, dziecina podniosła na mnie słodkie oczęta z zapytaniem, co to takiego morze.

— Widzisz Luta, taka duża, duża woda, sto razy taka jak nasz stawek.

Klasnęła z radości w rączęta i odtąd już całymi dniami szczebiotała o morzu. Bo muszę tu wspomnieć, że moja córeczka bardzo lubi nasz staw i łódkowanie. Nieraz Stach w chwilach wolnych, gdy go już przestaną nachodzić ci nieznośni chorzy, siada z nami na łódkę i wiosłuje; mała z wielką uwagą przypatruje się ruchom wiosła, lub też poważnie zadaje najdziwaczniejsze pytania...

Proszę mi wybaczyć bezładność, lecz te przygotowania blisko od miesiąca i gorączka spodziewanych wrażeń rozprzęgły mi do reszty panowanie nad nerwami. Itak może będę musiała przerwać pisanie na czas dłuższy. Prawdopodobnie nie zechce mi się zbierać myśli na riwierze, jak mówią „jasny brzeg” rozluźnia energię, sprowadzając omdlałą bezwładność. Mój Boże! czemużbym się jej nie miała oddać — to tak słodko omdlewać... w ramionach Stacha...

Chwyciłem za ołówek, którym to miejsce było założone i dopisałem niemal odruchowo: — Koniec, a obok położyłem krzyżyk. Następnie wyszedłem z altany.

U wejścia krwawy blask uderzył mi w oczy: słońce zważyło się nad poziomem. Spiesznie posunąłem się deptakiem.

Z tej strony grunt wchodził w staw ostrym dziobem tworząc

trójkątną wystawę. Przyładek był skalisty, obrosły miejscami mchem i pleśnią. Z płaskiego szczytu na jednakim poziomie z resztą ogrodu i chodnikiem spadał modrymi warkoczami powój, opinał się po zboczach bluszcz zwisając tuż nad wodą. Stok łagodniejszy z prawej wypuścił przez szczelinę krzak tarniny; dziki urok krzewu występował przedziwnie na szarym tle opoki. Cały przyładek robił wrażenie wypatrzalni. Nad samym krajem zapewne dla wygodnego oparcia się umieszczono żelazne balaski; były już stare i zjedzone rdzą, na pozór jednak trzymały silnie. Wstąpiwszy tu oparłem się o nie plecyma, by ogarnąć wzrokiem pyszny widok dalszej partyi ogrodowej. Nagle uczułem zdradliwe trzeszczenie prętów; przestałem się opierać i obejrzałem je: cztery śrubki rozluźniły się zupełnie i groziły wymknięciem się prętów ze spojeń. Nie zakręcając gwintów założyłem je wolno, po czym skierowałem się w aleję topól. U wylotu dopiero błyszczały pokrwawiem zachodu okna rozkosznej willi. Ostrożnie skradając się dotarłem pod domostwo zakryty krzewami przekwitłego bzu.

I wtedy spotkałem się twarzą w twarz ze szczęściem ludzkim, oglądałem je w jego dumnej krasie, promienne, widziałem je w całej bezwzględności, darzące szczodłą dłońią swych wybranych, zuchwałe, zwycięskie, bezczelne...

Na białym, kamiennym tarasie willi, zbiegającym w kilku stopniach ku ogrodowi widniało dwoje ludzi, dwoje skończenie pięknych typów. Kobieta była jasnowłosa, o szafirowych, mokrych oczach; rysy Madonny subtelne, pełne wyrafinowanego piękna świadczyły, że na nie musiały się złożyć całe wieki kultury i doboru. Krągła pierś wzdymała się niewymowną rozkoszą, oczy oszalałe miłością tonęły w źrenicach nachylonego nad nią mężczyzny... A na ten szal miłosnego zapamiętania lał złociste strugi konający dzień...

I tak stali wśród orgii światła i żaru piękni, szczęśliwi, jak bogi...

On szeptał jakieś namiętne, palące słowa co krew żądzą burzą, w zmysłach pożogę niecą niesytą, pragnącą... Skłonił się niżej... ku ustom... poznałem doktora...

Dziecięcy śmiech zadzwonił z wnętrza i zaraz potem ukazała się w oszklonych drzwiach werandy śliczna, kilkuletnia dziewczynka prowadzona za rękę przez sędziwego sługę. Mała podbiegła tuląc się do

rodziców, podczas gdy służący przystąpiwszy do pana domu zamienił z nim parę słów. Doktor słuchał niechętnie i z widocznym roztargnieniem, wreszcie jednak ociągając się pożegnał skinieniem ręki żonę i córkę, po czym zniknął wraz z służącym w drzwiach domu.

Pani jakiś czas jeszcze wahała się z przymkniętymi oczyma w wygodnym bujaku jakby przeżywając powtórnie rozkosz niedawnych pieszczot, następnie ująwszy rączkę córeczki poczęła zstępować z tarasu włąb ogrodu. Na ostatnim stopniu niby zastanowiła się; trwało to przecież tylko chwilkę i wkrótce posuwały się matka i córka aleą topolową pogodnie i pięknie ciszą wieczora. Jakaś nadziejska, anielska błogość jaśniała na twarzy kobiety rozwitłej pełnią młodzieńczej urody, na licu dziecka, co napawało urokiem przyszłego czaru. — Przeszły wzdłuż aleę i wstąpiły na deptak. Co parę kroków przystawała matka pozwalając małej zrywać kwiaty bujnie rozrzucone na przepysznych klombach. Sama uszczknęła białą lilię i wpięła we włosy. Tak doszły do przylądka: matka chciała iść dalej nie zmieniając kierunku, lecz dziewczynka upierała się ciągnąc za rękę ku skalistej wystawie. Ulegając kaprysowi dziecka zbliżyła się ku balaskom...

Czułem, jak krew uderzyła mi legionem wściekłych młotów i kuła w skroniach. Stały tuż przy fatalnych prętach. Kobieta wzięła dziecko na rękę; wiotka jej postać czerniała się wyraźnie na tle mieniącego opalami stawu... wiatr wieczorny igrał w rozwianych włosach... Mała od jakiegoś czasu wpatrzona pilnie w jeden punkt na wodzie.... wyciągnęła rączki:

— Mamo! Patrz... tam! ...

Matka opiera się o balaski, przechyla... silniej, mocniej... suchy, rdzawy zgrzyt, sekunda wahania się, chwiejby, po czym krótki, urwany krzyk z dwóch piersi i... ciężki pluskot spadających ciał...

W tej chwili ukazał się na tarasie doktor. Spojrzał na staw: po toni włókł się długi, płowy włos... a obok raz mignęła jasna główka Lutki... potem wszystko znikło. Tylko głęboki lej wodny począł się skwapliwie zapełniać... wreszcie toń zawarła się, wygładziła i była wzdęta jak pierwej.

Wysunąłem się z krzewów bzu i stanąłem na środku alei oświetlony krwawo zorzą zachodu i spojrzałem na taras. Spostrzegłem mnie... zajrzeliśmy sobie w oczy: długo, przeciągle... po czasie zwiesił ponuro głowę na piersi. Wtedy zanurzyłem się w mroki wieczora...

27 listopada 1906

Wampir

Nad Castro de Brocadero rozwiesiła dziko zmierzwiene zapony chmur wietrzna jesienna noc. Luty wiatr przedarłszy się przez szczerbate piły Pico Nevado wpadał piekielnym gwizdem pomiędzy rozchybotane szczyty drzew, okrążał zamek korowodem poświstów, osaczał zewsząd rozjuszonym skowytem. Chwilami rozpruwały się skleszczone w uścisku ławice chmur, by odsłonić seledynową tarczę księżyca: na moment wynikały z pieczar nocy krzepkie narożniki, wydłużały się ukośnym biegiem bastiony, stożyły śmiałym rzutem w niebo iglice wież. I znów wsiąkało wszystko w niezgłębione ciemności. Tylko gromada puchaczy wyrywała się spod murowych wyziorów i z złowrogim skwirem tłukła o skały...

W smukłym, gotyckim oknie narożni pełgoce nikłe światło: nie śpi pan grodu, czuwa Don Alonzo de Savadra. Zegary zamkowe dawno już wydzwoniły dwunastą, dawno już przebrzmiała na wieży mosiężna fanfara północy złamana w tysiączne podźwięki o drapieżne grażnie...

Do pańskiej komnaty wszedł srebrnowłose majordomo, czystej krwi hidalgo, przyjaciel i sługa. Oddawał klucze:

— Czy mam przyzwać szatnego, señor?

— Nie trudź się mój stary — tej nocy spać nie będę — Skłonił się — już wyszedł.

Hrabia zagłębił się w pysznym, mahoniowym karle. Przed nim na trójnożnym stoliku jakiś stary, mistyczny traktat — barwne inicjały, dziwaczne arabeski. Z pożółkłych kart foliału wieje odrębna, swoista woń; może wspomnienie dawnych, wielkich chwil. Droga, cenna księga spuścizna chrobrych dziadów!...

Zadumał się nad zgasłą Savadrów sławą, zapamiętał — on, ostatni z rodu...

Rycerscy byli, piękni byli — Chrystusa witezie! I sam był podobny, gdy w świetnej kolczudze, w okolu krasnych giermków wprowadzał ją w te progi, ją, dumną Biankę Bradera, szczodłą i wyniosłą panią. Dziś starzec oszroniały wiekiem i sam bez potomka... Savadrów ród!... perła

Andaluzji, kortezi kraju, wielkie serca, tęgie dłonie! I wiary zaszczyty. Żaden nie splamił się herezją, żaden nie zgasł na wygnaniu, nie zetlał w ogniu auto-da-fé. Dwóch zamknęło się w skalnym ustroniu, gdzie wiedli żywot błogosławionych. Po śmierci Kościół uznał jako świętych. A wiara ich była silna, gorąca: tak tylko wierzyć umie namiętny duch Hiszpana...

... Może i zbyt pogardzali ciałem, może... To prawda, że ku końcowi marnieli w oczach, nikli z fatalną szybkością. Niegdyś tak płodny, rozrosły potężnymi odnogi ród w przeciągu lat kilkudziesięciu skarłowaciał do szczytu. I oto na nim wysilił się rozrodczy pęd ostatnim pokotem i skonał...

Powiódł znużonym okiem po galerii antenatów; przechodził z wolna twarz po twarzy. Po raz pierwszy może uraził go kontrast między rzędami górnymi a końcową odroślą. Tam — rysy męskie, o szerokim rozmachu, piersi jak puklerze, u dołu — głowy dziwnie wysubtelnione, oczy zawleczone mgłą przeduchowienia, pociągłe owale ascezy...

Zatrzymał wzrok u samego spodu i długo, długo wpatrywał się w wizerunek przedostatni: Olivareza. Brata — przyjaciela.

Jakże odbija ta młodzieńcza tryskająca pełnią sił życiowych twarz od swych wybladłych, zmęczonych sąsiadów. Hm... hm... Olivarez, Olivarez...

Popadł w zadumę.

Tak, to prawda. Starszy brat stanowił istotnie pod każdym względem dysharmonię z końcową linią Savadrów. Jak gdyby w nim ród chciał rozbłysnąć po raz ostatni przepychem byłej tężyzny, zamigotać raz jeszcze minioną świetnością. Więc zogniskował resztę soków, wyprężył twórcze rodnie i wydał doskonałego człowieka. Bo w pojęciu Don Alonza brat zawsze za takiego uchodził. Żywo pamiętał tę smukłą, męską postać z kruczym zarostem, te ogniste, namiętne oczy i ruchy przepojone wykwinem i rycerskością. Olivarez był dzielnym jeźdźcem. Gdy na swym karym arabie przejeżdżając ulice miasta rzucał płomienne spojrzenia spod zapuszczonych kres sombrera, zapełniały się okna i balkony postaciami kobiet, tysiące palących oczu señorit odprowadzało go z tajonym zachwytem.

Dzielny był! Gdy raz w Madrycie runął rozwścieczony buhaj na zbladłego toreadora, Olivarez lekko przeskoczywszy barierę, utopił kordelas po rękojęć w sercu bestii.

Obok przymiotów fizycznych górował wybitną inteligencją. Mimo młodego stosunkowo wieku wyrobił sobie dość oryginalny pogląd na życie i jego zagadki. Szczególnie lubił dysputy na temat bytu pozagrobowego. Nieraz gdy przez żaluzje precedzało słońce przygasłe światło popołudnia a zza kaszmirowej kotary przesiąkały drzemiąco namiętne tony pieśni kreolów siadali samotni pod łękami arkad i snuli długie, wyczerpujące rozmowy. Czasami muzyka przygasła i na tle aksamitnych opon wynurzała się hieratyczna postać Bianki, wsłuchana w szmer rzucanych słów, pytań, odpowiedzi... Czasami już księżyc zapalał blade ognie w porozwieszanych pawężach, srebrzył się na klindze dagi, pylił na brzeszczotach skrzyżowanych szpad...

Szczególnie jedna z tych rozmów utkwiała mu głęboko w pamięci.

Było to na krótko przed wyjazdem Olivareza do południowych kresów kraju, gdzie miał objąć w zarząd przypadające nań apanaże. Bliskie pożegnanie, może jakieś niejasne przeczucia spowodowały, że brat był pamiętnego wieczora silnie podniecony, co jak zwykle u niego objawiło się w potrzebie żywej dyskusji. Toczyła się na ulubiony mu temat o życiu pozagrobowym i stosunku ducha do materii.

— Doprawdy — mówił — nie rozumiem waszej uporczywej pogardy dla ciała. Zdaje mi się czasem, żeśmy już bardzo zwyrodniali. Widzisz Alonzo, nie mogę się zgodzić na tę jednostronność; zbyt silnie przemawia do mnie świat zewnętrzny, zbyt piękni wydają mi się ludzie w swej dumnej dostojności ciał. Przenigdy nie przechylę się ku rozpaczliwej wierze, że tyle boskich kształtów rozwieje się kiedyś w proch, lub wyleże tylko trujące miazmaty chorób. Nie podobna! Toby było ohydną igraszką, tępym bezsensem piękna. Miałyżby być li tylko kapryśnym tworem znudzonego nicością demona te wiotkie, gibkie linie, co w takt tajemnych rytmów układają się w spiżowy posąg siły, to znów pieściwą falą zgięć o podziw proszą, te złote kaskady dźwięków, tęczowe symfonie barw? To całe tak straszne a tak pyszne życie? Przenigdy! Mój Demiurgos za wielki na to i za poważny.

Skąd wogóle ten nieubłagany rozdział między ciałem a duszą? Może dusza sama przez się nie istnieje? Może i nie ma tej przepastnej różnicy?

Zatrzymał się jakby wyczekując zapytania. Po chwili milczenia zagrał cichą melodią głos Bianki:

— Czymże więc dusza?

— Przeduchowionym ciałem, które po śmierci pozbywa się grubszych, organicznych części i z czasem przechodzi w świetlane, nieśmiertelne tworzywo ducha. Obrazem tego procesu są blade, fosforujące otocze nad grobami świeżo umarłych. To wyzwoliny duszy. Tak boskie ciało miał Chrystus po śmierci — w nim to ukazał się w gaju oliwnym zachwyconej Maryi z Magdali i przez drzwi zamknięte wszedł do wieczernika uczniów swoich. Pomnisz słowa Pisma Świętego o zmartwychwstaniu ciał? Myślę, że chyba nie o tych mowa, co wtedy już dawno strupieszają w grobach, o ciałach fizycznych...

Rozdrażnienie Olivareza widocznie wzmogło się, bo przerwał i począł krążyć szybko po sali. Wargi mu drgały niecierpliwością i znać było, że pragnie wynurzyć się z jakiejś zmory, tłoczącej mu pierś. Wreszcie gwałtownie, z wstydliwą bojaźnią zakończył:

— Snuje mi się czasem po głowie potworna myśl, dzika fantazja śmierci. Wyobraźcie sobie, że człowiek harmonijnie rozwinięty, z doskonałym zestrojem władz ciała i duszy, co przedziwnie zawarł w sobie krańcowe ich objawy ginie gwałtowną śmiercią. Pomyślcie, jakby niechętnie wtedy dusza wyzwalała się z ciała, z jakim wahaniem się odwłoka?... Ona by je oblatywała jak matka martwe pisklę nie mogąc się z nim rozłączyć! i ha!... to potworne!... może lata całe!... Pomyślcie o skutkach czegoś podobnego! Taby było coś połowicznego, jakieś zawieszenie między życiem a śmiercią, ziemią a zaświatem. Obłądny półrozwój pośmiertny!... Nie!... nie! oszalałem!...

Przycisnął kurczowo dłonie ku skroniom i patrzył zdziczałymi od strachu oczyma w posrebrz nocy za oknami.

Wkrótce potem odjechał. W miesiąc przyszła wiadomość o jego nagłym zgonie. Śmierć ta pozostała do dziś dnia dla hrabi tajemnicą. Zwłoki znaleziono w ustronnej, podmiejskiej hacjendzie sztywnie rozpostarte na otomanie.

Może mściwa zemsta zdradzonej kochanki wsączyła krople jadu w puchar biesiadny wśród historycznych płasów tarantelli... Może ból przepastny podciął krwawiące tętnice... może...

A był tak młody: zginął licząc zaledwie trzydziesty rok życia.

Zwłoki sprowadzono natychmiast do zamku i nie balsamując pochowano w grobowcu rodzinnym Savadrów.

Odtąd czterdzieści już razy ubieliły śniegi zębate sierry gór,

czterdzieści razy świeciła wiosna gody powrotu po bezkresnych lianach, lewadach, po leśnych parowach. Stratę brata odczuł Alonzo głęboko. Zdziczał i sposepniał. Od śmierci Olivareza ni razu nie zabrzmiała z wieżycy powitalna fanfara trębacza, ni razu nie przerzucił most zwodzony gościnnych ramion przez fosę. Nieodświeżana woda w rowach okalających grodzisko obrosła kępami rokiciny i szuwarów, spomiędzy których wyzierały zrudziałe pleśnie i kozuchy. Na zgłuszonych zielskiem skarpach, na fortecznych zboczach pełniły od lat żałobną straż cyprysy, oddawały się wiatrom smętne limby. Ciszę przerywał czasem z wieży drżący głos Rozity, piastunki hrabiego, gdy przędąc na kołowrotku nuciła nikłą, starczą piosenkę, czasem dolatywał parowem pogrzebowy dźwięk dzwonu z Santa Pietade, odległej o trzy wiorsty od kasztelu.

Niekiedy pod wieczorną zorzę przesuwiał się wydłużoną sylwetą po skałach cień samotnego wędrowca, mignęła barwna świta górala. W górze grały bez przerwy wielkie harfy wiatru...

Pan zamku odciął się zupełnie od świata i ludzi; zatopiony w mistycznych studiach tracił widocznie resztę sił życiowych i gasł wśród zabójczych zachwytych ascezy.

Chwilami tylko spóźnione pobłyski przeszłości roztaczały przed nim stare, zatarte obrazy niby wypłowiałe gobeliny na ścianach sal rycerskich...

...Rozśpiewane chóry minstrelów, strojne, płomiennookie señority i róże... białe, powiędłe kwiaty... Gdzieś daleka melodia drga, gdzieś męski toreador kona... Jak łka, ach! jak łka gorący ton bolera... Ha!... pęknięcie struny!..

Lecz chwile takie przychodziły rzadko i wnet rozwiewały się bezpowrotnie. I znów spowijała duszę w białe całuny mistyczna zaduma. Zwykle siadywał w niszy olbrzymiego okna narożnej wypatrzni twarzą zwrócony ku tytanicznym skałom, jakie piętrzyły się wokół zamczyska. Gdy go już znużyły zawile traktaty ascetów, odkładał foliały i zanurzwszy oczy w błękit nieba godziny całe przepędzał bez ruchu. Nieraz już jaskółki wracając na nocleg pod zamkowe okapy uderzały w przelocie o szyby, nieraz już gasnące na szczytach słońce oblewało srebrną głowę starca szkarłatem zachodu.

W dolinie krążyły tymczasem o ostatnim z Savadrów najrozmaitsze wieści. Na jedno wszyscy się zgadzali: Don Alonzo rozmawiał z duchami

przodków. Ile w tym było prawdy, trudno dociec. To pewne jednak, że już od szeregu lat nawiedzały go nader dziwaczne, czasem nawet przykre sny. On sam zwrócił szczególną uwagę na jeden szczegół. Oto wszystkie w większej lub mniejszej mierze odnosiły się do Olivareza, wszystkie były jakby modulacjami na ten sam temat, a tym był brat starszy. Być może, że przyczyną było silne przywiązanie, którym go za życia otaczał, być może, że był i inny powód. Hrabia nie zastanawiał się nad tym punktem, natomiast rozdrażniała go w najwyższym stopniu pewna okoliczność stale występująca, ilekroć śnił o bracie. Zwykle ukazywała mu się z pomiędzy gęstych zwojów nieokreślonej materii tylko piękna głowa Olivareza; na ustach widma błąkał się wtedy zawsze zagadkowy uśmiech, gdy oczy zdawały się dawać mu do zrozumienia, że pragnie się z czymś zwierzyć. Trwało to niesłychanie krótką chwilę. Potem zwoje zesuwały się i wszystko roztopiało w jednolitą ciemność.

Widzenie, które miał ostatniej nocy, wywarło nań tak silne wrażenie, że pod jego magicznym wpływem powziął Alonzo szczególne, może nawet dziwaczne postanowienie. Jak zwykle wysiąkła z pokładów nocy upiorna głowa oświetlona nie wiadomo skąd padającym, zielonkawym refleksem. W chwili, gdy już poczęła się zasuwac za kotary, zawarte dotąd szczelnie usta na moment odchyliły się i wyszeptał bełkocącym głosem:

— Odwiedz mnie! — i znikły.

Alonzo postanowił usłuchać wezwania i w tym celu nie udał się tej nocy na spoczynek. Czuł dobrze dziwactwo swego zamiaru nie mniej jednak nie zmienił go lecz za wszelką cenę chciał spełnić wolę widma.

Spojrzał na zegar: była druga po północy; dwóch rycerzy poruszanych ukrytym mechanizmem sprężyny wyszło przez otwarty na oścież portal, uderzyło dwukrotnie kopiami w tarczę i zaszło za drugą ścianę klatki zegarowej. Czas był najwyższy.

Wyjął z żelaznych kleszców kuny płonąca żagiew u węgarów podwoi i przystąpił do jednej ze ścian komnaty, którą od stropu aż do posadzki zakrywała kitajkowa zapona. Robota była nadzwyczaj subtelna, przetykana złotogłowem, wzorzysta perłami:

Pod stuletnim jaworem śni słodko, marzy urodziwy księżę. Złote pukle włosów rozkocily mu się po barkach, przymknięte powieki drgają od popołudniowego skwaru ledwo dostrzegalnym ruchem. Niedbale

wyciągnięta ręka obejmuje miękkim ruchem pień drzewa, druga spoczywa na jelicach szpady wysadzonej w modre szafiry. Śni, marzy... może o czarującej wodnicy, co tam spoza drzew w leśnej topieli się pławi...

To książę Piotr z Prowancji i jego małżonka: piękna Meluzyna...

Alonzo zebrał makatę we fałdy i odsunął, na ścianie mniej więcej w środku ukazał się wydatny, kościany guzik. Oburącz przycisnął gałkę. Ściana zaczęła się rozstępować na dwie strony a w otworze powstałym na jej miejscu zaczerniała głęboko wyżłobiona czeluść. Rozświecając ciemności pochodnią wszedł do wnętrza. Po prawej odsunął żelazną zasuwę i wyjął z głębi wielki, kilkakroć zazębiony klucz. Teraz począł badać uważnie kamienną posadzkę skrytki, ułożoną w kwadratowe tafle. Jedną z nich znać lekko założoną odrzucił na bok bez wysiłku. Tędy prosto już wiodły podziemne schody do grobowców. Ostrożnie, ściskając drzewce żagwi zeszedł po stopniach w dół, zapuścił się w wąski korytarz i zatrzymał przed ciężko ukutymi wrzeciędzami. Wprowadził wymyki klucza w zamek, obrócił dwukrotnie i pchnął...

Gwałtowny pęd zduszonego powietrza buchnął z wnętrza i zagasił światło. Szczęściem okazało się już zbędnym, bo cały grobowiec jasno oświetlał blask miesięczny wdarłszy się tu przez elipsoidy okien u szczytu.

Odurzony, ledwie przytomny zastanowił się de Savadra na progu. Przed nim po niszach wykutych w granitowej opoce spoczywali przodkowie w swych świetnych połyskliwych trumnach. Nic — tylko szereg trumien i stalowy płas księżycy niby sypki dźwięk przesiewanego srebra — nic — tylko dzwoniąca cisza śmierci, mistyczny poszmer zaświatów...

Powoli odzyskał spokój. Nisza Olivareza, ostatnia na kraju pod samym oknem była w tej chwili cała wysrebrzona poświatą miesiąca, przestronna i jasna jak w dzień.

Zbliżył się. Od razu uderzyła go w nozdrza dziwnie miła woń, rozlana w tej części grobowca. Równocześnie wyczuwał jakąś szczególną, odrębną jej atmosferę, którąby najlepiej określić nazywając środowiskiem Olivareza. Tak — ten niepojęty dlań nastrój czy duszę miejsca takim jedynie określeniem można było choć w przybliżeniu oddać. Nazwa ta, podobne ujęcie rzeczy nasuwało się prawie odruchowo,

płynęło samorzutnie z głębi jestestwa bez rozumowych przesłanek. Żywiołowa projekcja pierwszego wrażenia.

Lecz na tym nie koniec. Hrabia nabrał na tym miejscu dość zagadkowego przekonania: zdawało mu się, że nie jest sam w podziemiu... nie, był tego niemal pewny...

Wszystkie nerwy rozsprzęgły się, że drżał jak oszalałe struny brząkadła bajadery...

— Kto tu?!... Kto tu!?!...

Dotknął wieka trumny nie śmiać podnieść w górę. Wreszcie przymknąwszy oczy odważył się; czuł pod ręką, jak się zwolna odchyliło i zakreśliwszy łuk rozwarło na oścież...

Nagle odemknął oczy i z krzykiem grozy skoczył wstecz...

W trumnie leżały nienaruszone zwłoki człowieka nieco starszego od hrabi. Długa, biała broda sięgała do pasa, chorobliwie wybujałe włosy wyścielały szczelnie ściany dna pokrywając upiornym płaszczem ręce, tułów i nogi. A z pomiędzy tej dzikiej oplączy włosów siwoszarych wychylało się w okoku brabanckich koronek dwoje rąk, nie!... dwoje szponów o nieludzko wydłużonych, drapieżnych paznokciach jak kreda białych i bezkrwistych...

Był to trup Don Olivareza de Savadra, paradoksalny trup postarzały o lat czterdzieści...

Alonzo miał przed sobą potworną anomalię, jedną z najdzikszych, z najszańszych świata...

Wzniósł oczy na niebo pełen oczekiwania, niepewny... Lecz tam w górze cichu było jak przedtem — tylko ponura, rozczochrana chmura wymknąwszy znad Sierra Negra zaciągnęła znów zwartą zasłonę nad zamkiem Savadrów i jego tajemnicą.

4 października 1907

Szalona zagroda

W poblaskach stoję słonecznych, w strugach się pławię pokrwawia — a wichry nade mną tak smętnią, a wichry tak kwilą nad głową...

W step patrzę pusty, rozległy, w step patrzę, zielskiem zmacony — a kruki się żalą nade mną, a kruki nade mną tak płaczą...

Samotny stoję w rumowiu, bezdomny ojciec bezdzietny — a rozpacz po gruzach się tłucze, a rozpacz po szczerbach się słania...

Na kresach chmury się prężą, na skłonach chmury się stałą — dym płachtę zarzucił na oczy, w krtani więzgną, wrzynają się sadze...

Wczoraj wróciłem z zakładu: nie jestem już szkodliwy. Niech i tak będzie. Lecz przysięgam, że każdy na mym miejscu, w podobnych okolicznościach doszedłby w końcu tam, gdzie ja...

Nie jestem chory i nie byłem nim nigdy — nawet wtedy... tak... nawet wtedy. To, co zrobiłem, wynikło nie z jakiegoś zboczenia, lecz było konieczne, jak nimi są przejawy żywiołów, jak śmierć i życie — wynikło ze środowiska z oczywistością niezachwianą. Nie jestem i nie byłem nigdy psychopata!

Natomiast byłem skończonym sceptykiem; nie przywiązywałem się do żadnej zasady, czy doktryny — nie ulegałem nigdy sugestii. Pod tym względem stał ze mną na wprost przeciwnym biegunie mój przyjaciel K., którego wówczas uważałem za człowieka niezwykle przesądnego. Jego dziwaczne, niekiedy obłąkane poglądy i teorie wzbudzały we mnie stale gwałtowną opozycję, a stąd ustawiczne spory, kończące się nieraz zerwaniem na czas dłuższy naszych wzajemnych stosunków. — A jednak zdaje mi się — nie ze wszystkim się mylił. Przynajmniej jedno z jego zapatrywań na mnie się fatalnie spełniło. Może dlatego właśnie, że przeciw niemu najzawzięciej występowałem, jak gdyby przeczuwając, że mu posłużę za formę objawienia się.

K. utrzymywał, że w pewnych miejscach muszą się odbyć pewne rzeczy; innymi słowy, że są pewne miejsca, których charakter, natura,

dusza oczekuje spełnienia się wypadków, zdarzeń z nimi związanych. Nazywał to „stylową konsekwencją”, chociaż czułem w tym wszystkim pierwiastek panteistyczny. Cokolwiekbądź jeszcze pod tym rozumiał, nie zgadzałem się z zapatrywaniem podobnego rodzaju, unikając wszelkiego choćby cienia tajemniczości.

Myśl ta przecież nie dawała mi spokoju, a chęć wykazania jej bezpodstawności nęciła nawet po rozstaniu z K., z którym się już więcej nie spotkałem w życiu. Niedługo potem miałem zaspokoić moją ciekawość. — Stało się... i wyszedłem stamtąd w mym trzydziestym roku życia osiwiały jak starzec i złamany na zawsze. Włosy mi się jeżą na wspomnienie tej chwili strasznej, niezapomnianej, co zdruzgotała mnie doszczętnie.

I nie wiem, czemu jeszcze żyję i na co i że w ogóle po tem żyć mogę. Bo w pokutę nie wierzę; zresztą nie czuję się winnym...

Choć krwawo słońce zachodzi i szkarłat na głowę mi bluzga — nie czuję się katem...

Tylko za długa agonia, zbyt się pastwi nade mną.

Choć pod wspomnieniem arterie tężeją, a w mózgu przewalają się kałuże krwi — czyste mam czoło i trupioblade ręce...

Tylko zbyt się odwleka mój koniec i za jasno wszystko rozumiem, za bystro... Dziwnie jakoś zaostrzyła mi się uwaga. Chłodny jestem jak stal i jak stal wrzynam się we własne tętnice...

A słońce gra, a słońce purpurą obrzuca...

Ociekam krwią, serdeczną krwią...

Byłem ojcem dwojga dzieci, naszych biednych dzieci. — Agnes kochała je do szaleństwa, więcej może niż mnie. I porzuciła, przedwcześnie. Zmarła parę lat po przyjściu na świat młodszej dziewczynki.

Agnes moja! moja słodka Agnes...

Śmierć ta rozstroiła mnie bardzo. Nie mogąc uspokoić się jednostajnym trybem życia, zacząłem podróżować wraz z dziećmi, które mi były jedyną osłodą tych czasów. Dla oderwania myśli od bolesnych wspomnień, czytałem dużo, przerzucając się kolejno w tematy najrozmaitsze, od najbardziej wyuzdanych i brutalnych do pełnych mistycyzmu i symboliki. Przy tym nie zapomniałem o K. i jego teoriach.

Pewnego razu zatrzymaliśmy się na czas dłuższy w mieście * w

zamiarze spędzenia tu miesięcy jesiennych. Samo miasto z cechami typowymi większych środowisk kultury i pełnym nerwem stolicy przedstawiało dla mnie najwyższy urok, przez swe piękne okolice.

Do jednej z nich wybrałem się z dziećmi dorożką w pogodną, sierpniową niedzielę. Wypadłszy poza obręb miasta, przesunął się pojazd między dwoma szeregami topól, przeciął tor kolejowy i pomknął między pola. Byliśmy już pół mili za miastem, gdy po prawej stronie gościńca, nieco w głębi, na pustkowiu zwróciła mą uwagę dość dziwaczna na pierwszy rzut oka budowla samotnie wzniesiona pośród zaniedbanego sadu i zupełnie niezamieszkała. Zatrzymałem dorożkę i sam poszedłem oglądać budynek.

Gdy zaciekawiony począłem rozpatrywać szczegóły, nagle spoza stosu rumowia przed chatą wysunęła się zawiędła starucha i z lękiem przypadłszy do mnie szepnęła:

— Panie, rzućcie ten dom, póki pora, rzućcie, jeśli wam Bóg i dusza miła!

Po czym spiesznie rzuciła się w bok i znikła w burzanach.

Zajście to zaostrzyło tylko moją ciekawość i podnieciło chęć rozwiązania zagadki, jeśli w ogóle można tu było o czymś podobnym mówić. Po powrocie do domu miałem już plan gotowy: postanowiłem bezzwłocznie sprowadzić się do opustoszałej zagrody. Wydała mi się jakby stworzoną do sprawdzenia wywodów mego ekscentrycznego przyjaciela; jeżeli miały jaką rację bytu, to tu powinny ją ujawnić. Uderzyła mnie mianowicie wspomniana scena przy ruderze, jako też niektóre szczegóły miejsca, zgodne z tym, co niegdyś słyszałem od K.

Co do sceptycyzmu, ten nie zmniejszył się bynajmniej; zachowywałem też chłodną rezerwę badacza-niedowiarka. Później dopiero miałem z roli obserwatora przejść w czynną; lecz to nastąpiło potem i bez mej świadomości.

Tymczasem pokusa była za wielka, żeby się jej móżd oprzeć i nazajutrz zaopatrzony we wszystko sprowadziłem się z dziećmi do ustronnego domostwa. Co mnie na wstępie zdziwiło, to okoliczność, że gdy chciałem się w sprawie wynajmu porozumieć z gminą, nie robiono mi najmniejszych trudności i pozwolono zamieszkać za śmiesznie małą cenę. Swobodę miałem najzupełniejszą i nie potrzebowałem obawiać się przyspieszów wsi, gdyż ludzie sami wymijali z daleka mą siedzibę i

nieraz widziałem, jak przechodząc mimo, żegnali się zabobonnie. Tak więc całymi tygodniami nie widziałem ludzkiej twarzy, chyba gdy kto przejeżdżał traktem, co się jednak zdarzało rzadko, bo ruch na tej linii od kilku lat osłabł znacznie i przeniósł się o parę wiorst na zachód. Zacząłem więc obserwację.

Przede wszystkim zastanawiała sama zagroda. Budowa jej na pozór niczem nie różniła się od zwykłych domostw, jakie spotyka się na przedmieściach lub przydrożnych zajazdach, a przecież...

Skutkiem szczególnego zestawienia proporcji zdawało się coraz to bardziej zwięzać ku dołowi — tak, że podstawa w porównaniu ze szczytem była zadziwiająco mała i wąta; dach z górną częścią wprost przygniatał podwaliny. Całość dawała się przyrównać do chorobliwie rozwiniętego organizmu ludzkiego, który ugina się pod ciężarem anormalnego wybudowania głowy.

Konstrukcja ta nadawała domowi charakter czegoś brutalnego, jakiegoś znęcania się silniejszego nad słabszym.

Nigdy nie umiałem sobie wytłumaczyć, jak mogła powstać i utrzymać się tego rodzaju budowa.

Podobne wrażenie robiły okna w stosunku do ścian znikająco małe; wciśnięte w grube mury gubiły się niemal w ich okropnym uścisku.

Tak przynajmniej wyglądało to zewnątrz, chociaż, jak się z czasem przekonałem, nie były tak wąskie w rzeczywistości, a przepuszczały tyle światła, ile w zwykłych warunkach okna znacznie większe.

Do tego przyłączył się drapieżny wygląd rudery skażonej mnóstwem dziur i wyłobień; wyglądające z nich cegły pokrywały mury niby pryszczami zakrzepłej posoki, obryzgującej ściany.

Nie mniej przykro przedstawiało się wewnątrz. Złożone z trzech izb pełne było szpar i przepuklin, przez które wnęcał się swobodnie wiatr, wpadał do wpółzawalonego paleniska, wykręcał resztki popiołów i tłukł się w dymniku.

Najdziwaczniejszą jednak okazała się izba narożna, gdzie przeważnie przebywałem.

Liszaje powstałe w jednej ze ścian po oderwaniu się tynku utworzyły zagadkową figurę.

Zrazu nie umiałem uchwycić jej należycie; przerysowałem więc z wolna na papierze i oto przedstawił mi się dość dziwny obraz, czy raczej

jego fragment.

U spodu ściany tuż nad podłogą odciskały się kontury nóg dziecięcych; jedna zgięta w kolanie opierała się końcem stopy o drugą, sztywnie wyprężoną ku ziemi. Tułów przechylony wstecz, dochodził mniej-więcej do piersi — reszty brakło.

Małe, wątle ramiona wznosiły się w górę ruchem bezsilnej samoobrony.

Całość mogąca wyobrazić ciało kilkuletniego chłopca, tchnęła bezwładem zwłok.

Nieco wyżej ponad tem, a w kierunku nieistniejącej głowy, widniało dwoje rąk, kurczowo zaciśniętych około czego — nie wiadomo; przestrzeń między palcami była pusta. Lecz ręce te należały do kogoś innego: były znacznie większe i żyłaste. Do kogo — obraz nie wskazywał, bo urywały się już poniżej łokcia i zatracaly gdzieś na białym tle ściany.

Obraz ten jak i cała izba miewała w słoneczne dni swe specjalne oświetlenie. Promienie wpadając przez okna, załamywały się w taki sposób, że światło rozszczepione w krwiste okola oblewało jeden ze słupców przyciesi; zdawało się wtedy, że ściekają zeń grube krople krwi i rozwodzą w kałużę u spodu.

Tłumaczyłem sobie to niezbyt przyjemne zjawisko prawami optyki i szczególnym składem chemicznym szkła w szybach zresztą białych i nieskażenie przezroczytych.

Zbadawszy samo siedlisko, przeszedłem w sad, czy ogród, stanowiący z nim jedną, nierozłączną, a stylową całość.

Był bardzo stary i zapuszczony. Od lat wielu rozplenione chaszczce ujmowały go zewnątrz zwartym żywopłotem, strzegąc zazdrośnie tajemnicy wnętrza. Wśród chorobliwie wybujałych trawisk i dziedzierzawy butwiały smukłe, przedwcześnie zmarniałe pnie młodych drzewin. Obaliły je nie wiatry, nie mające tu przystępu, lecz powolne, zjadliwe wysysanie im żywotnych soków przez starsze drzewa. Toteż wyschły jak szkielety z liśćmi o suchotniczych wypryskach. Inne, których nie dosięgły jeszcze sturamiennie ssawki olbrzymów, marły w cieniu, przesłonięte tak brutalnym przerostem.

W jednym miejscu wychyliła się młoda olcha spoza prząseł sąsiedniego dębu i z tęsknotą wyzwolin nurzała się w słońcu; wtedy dognał ją muskularnym konarem, wpoił się w miękką jeszcze rdzeń i

przedarł na drugą stronę; strzępami zwisły wywleczone nerwy, w gwałtownym skurczu poskręcały się włókna i słoje. Odtąd poczęła usychać...

Ówdzie wargate huby obsiadły latorośle w jadowitych pocałunkach i chłoneły ich mlecz z zapamiętaniem. Jakieś ohydne, krwawo nabiegłe pasożyty omotywały nieletnie pnie i dusiły je, dławiąc. Wydłużone paroście jaworów wspierały swój ciężar na ledwo rozrosłych szczepach i przygniatały je ku ziemi; pod nadmiernym naporem gięły się smutno ku podglebiu, lub wyradzały w potwornie śmieszne karły...

W sadzie nigdy nie zalegała cisza. Wieczne jakieś kwilenia, wieczne mąciły ją jęki. Ptactwo czegoś nieswoje przykrym zgiełkiem zawodziło po krzewach, błąkało się po gałęziach, tuliło po dziuplach. Czasem wszczynaly się piekielne gonitwy po całym ogrodzie, gdzie zapanowywała groza walki na śmierć i życie. To rodzice ścigali swe młode; biedne, nieprzywykłe do lotu pisklęta, tłukły się w daremnym wysiłku o pnie, łamały skrzydła, rozdzierały pierze, póki znużone, pokrwawione nie obsunęły się na ziemię; prześladowcy uderzali z góry dziobami tak długo, aż z rozszarpanych zwłok nie pozostało ani śladu.

Dziwny ten sad przejmował instynktownym strachem dzieci moje, gdyż unikały go, poprzestając na zabawie przed chatą. Ja, przeciwnie — prawie zeń nie wychodziłem, badając jego zwyrodniałe objawy, wżerając się coraz głębiej w jego tajniki. I nie wiadomo, jak niespostrzeżenie dałem się wciągnąć w zakłęte koło, wpleść w mrowisko zbrodni i obłądu. Procesu duchowego, jaki się we mnie odbywał, nie zdołałem śledzić — wszystko zaszło prawie nieświadomie. Dziś dopiero, drogą niezrozumiałej dla mnie anamnezy odtwarzam sobie najsubtelniejsze jego stadia.

Początkowo była mi atmosfera zagrody i jej otoczenia tak wstrętną, że gdyby nie chęć wyświecenia prawdy, byłbym ją chętnie opuścił. Z biegiem czasu przyzwyczailem się do środowiska, a nawet stało mi się ono niezbędne: spoufaliłem się. Miejsce zaczęło przetwarzać mnie na swój ton i uległem prawu, które nazwałbym „psychiczną mimikrą”: dostroiłem się do tła. Pozwoliłem się zbrutalizować.

Przekształcenie zaznaczyło się dobitnie w sympatii, jaką po pewnym czasie zacząłem uczuwać dla pierwiastka przemocy i gwałtu, przegląającego w charakterze zagrody i tego, co się dokoła niej działo.

Stałem się złym i złośliwym. Z rozkoszą łobuza pomagałem ptakom tępić potomstwo, drzewom znęcać się nad latoroślami. Inteligencja ludzka stępiała podówczas w przerażający sposób i przeszła w chęć bezmyślnego niszczenia.

Tak mijały miesiące, a szal mój wzrastał tylko i przybierał coraz to wyuzdańsze formy. Razem ze mną jednak jakby i całe otoczenie postępywało w szaleństwie, jakby spodziewało się bliskiego rozwiązania. Musiałem i ja to przeczuć, bo przypominam sobie, jak pod koniec godzinami całymi wpatrywałem się w chimeryczny fragment na ścianie i w jego uzupełnieniu oczekiwałem klucza do zagadki. Albowiem w końcu wiedziałem tylko to, że mam coś wyjaśnić — z tego, co się ze mną działo, nie zdawałem sobie sprawy.

Równoległe z tymi przejawami zmieniał się dziko mój stosunek do dzieci. Nie mogę powiedzieć, żebym je przestał kochać — przeciwnie; lecz miłość ta przerodziła się w coś potwornego, w rozkosz pastwienia się nad przedmiotem swych uczuć: począłem bić dzieci moje.

Przerażone, zdziwione surowością dotąd łagodnego ojca, uciekały przede mną kryjąc się po kątach. Pamiętam te biedne, jasne oczęta zalane łzami, z cichą skargą w głębi. Raz jeden ocknąłem się. Było to wtedy, gdy mój mały, mój biedny synek wśród razów wyjęknął:

— Tato... dlaczego mnie bijesz?

Zaniosłem się od płaczu, lecz nazajutrz powtórzyło się to samo...

Pewnego dnia wstałem znacznie spokojniejszy, niż przedtem i jakby odrodzony po długim gorączkowym śnie. Jasno zrozumiałem położenie, dłużej pozostawać na tem odludziu byłoby rzeczą niebezpieczną i dlatego postanowiłem nazajutrz opuścić je na zawsze, rezygnując z dalszych dociekań. Był to ostatni odruch woli.

Tego wieczora w przeddzień odjazdu siedziałem z dziećmi w izbie, wszyscy troje z zadumą patrząc przez okna na zachód, co po łanach się położył.

Był krwawy i smutny. Miedziane smugi światła jesiennego leżały na polach żałobą agonii, zimne, przejęte chłodem nocy, bezsilne...

W sadzie zacichło nagle, szemrały nasennie jesiony, ćwierkały świerszcze... Zaparło dech światu. Chwila naprężenia...

Leniwym przerzutem zwracam spojrzenie na kaprys ściany.

— Trzeba to uzupełnić... uzupełnić.

Ogarnia mnie czułość. Jestem dobry i łez pełen.
— Jerzy! — pójdz tu dziecię!...
Usiada mi na kolanach ufny, wdzięczny... Musiał odczuć szczerłość w
głosie... Moje ręce gładzą jasną główkę syna, z wolna obejmując szyję...
— Tato!... nie ściskaj tak mocno! Ta-a-t...
Zacharczał...
Drugie dziecko z przestachem szybko biegnie ku drzwiom...
— Ucieknie ci...
Rzucam trupa Jerzego, doganiam córkę i jednym uderzeniem
roztrzaskuję jej głowę o belkę...
Krew zmieszała się z purpurą słońca.
Tępo patrzę pod ścianę, gdzie leży syn mój: zda się przywarł do
obrazu i uzupełnił go z największą dokładnością, na cal się nie wysunął
poza linię.
A w rękach nie zaciśniętych już więcej koło próżni, lecz miażdżących
mu szyję, poznałem... moje własne...
Karawana obłądnych myśli przeciągnęła ze szczękiem, zachrzęściła
szkieletami trupów i szczała w zawiei...

Problemat zagrody był rozwiązany.

22 marca 1908

Pomsta ziemi

W chacie wiedźmy Magdy dniało. Przez zmaćone kiry nocy przebierał się tajonym, kocim chodem srebrnoszary świt, przesiąkał z wolna przez szyby, wlewał w świetlicę, majaczył po ścieli, rozpełzywał po toku, wnęcał w mroczne kąty. Okna jakby bielmem zasłte oczy poczęły lśnić się i połyskiwać pod światło. Ale już i z za bliskiego boru rozległy się szумы a nawoływania, wszczęły dziwne pokrzyki, pohutnywania radosne rozhowory...

Czasem mignął płochliwym lotem nietoperz, huknął puchacz, lecz wnet milkł zestrachany. I znów nastawała cisza ogromna, zaparta, wyczekująca...

Daleko, daleko na krańcu nieba coś niby majak senny, różane przeczucie poranka mrzyło mglistą poświatą; pół skłonu niebieskiego pojaśniało od tego świtania, odrzuciwszy mroki na północną połać; wschód rumienił się coraz mocniej, wzmagął w sobie i roztaczał pogodne, skąpane w rumianym świetle zaranie. Oto już strzeliste smugi uderzyły spod ziemicy i rozprysły po nieboskłonie, a za nimi w ślad wynikła złota kula słońca; zakolebała się przez chwilę nad światem a potem wtoczyła na zweselone niebo. Kilka jasnych promieni liznęło ściany i powałę izby i rozkociło się po silnie ubitej podłodze.

W świetlicy roześmiał się wielki, biały dzień... Sosnowe dźwirze komory skrzypnęło i z mrocznej czeluści wysunęła się kraśna czarnobrewa. Lśniące, krucze włosy ściągnięte niedbale przy głowie czerwona zawiązka staczały się po ramionach ku ziemi w miękkich zwojach. Ociężała od snu poprawiwszy zmięty w nieładzie gorset wyszywanej koszuli przysunęła dziewczyna stojącą pod ścianą ławę do okna; usiadła cała skąpana w złocistym świetle poranka. Prawą ręką ujęła w połowie włosy i zaczęła je przegarniać grzebieniem. Promienie grały w bujnych skrętach, pławiły w gorącej rozkoszy ciężkie sploty, z pieśczołą prześlizgiwały się po odchylonej za każdym żywszem targnięciem twardej, jędrnej piersi dziewczuszej. Nucila jakąś namiętą dumkę goniąc wzrokiem po sperlonej rosą lewadzie, co przez szyby

widniała; z świeżej murawy bieгло spojrzenie na szumiący świtową pogwarą bór, zwieszało się z konarów na konary, wnikało w czerniejącą tajemniczo głąb...

W komorze odezwał się suchy kaszel, a po chwili utykając na sękatym kosturze ukazała się brzydka starucha. Młoda nie odwracając głowy nuciła bez przerwy. Wiedźma koso spojrzała na córkę i coś mamrocąc zdjęła z przypiecka pęk suchego ziele, pokruszywszy je na drobne kawałki włożyła do glinianego garnka i zasunęła w piec; potem rozpałiła pod spodem małe ognisko. Przez cały czas mruzczała bez ustanku wysuwając pomarszczoną, pokrytą brodawkami żuchwę.

Magda zeźlona była tego rana okrutnie. Nie wiodło jej się. Onegdaj Antoszcze kowalowej tak odczyniła uroków, że kobieta ledwie co nie zamarła i rozchorzała do niepamięci; a kowal sklął, napomstował i ledwo kija nie miał. Albo Jagnie sołtysowej takiego zielska zadała, że dziewczki się niby błąd jakowyś czepił i przez trzy dni i nocy po chacie wodził.

Nie dziwota, że na takie leki ludziska poczęli odkazywać, spode łba patrzeć, a i przekpiwać. Byli i tacy co z nią i gadać nie chcieli, jeno schodzili z drogi jak temu psu zapowietrzonemu, a wrótnie od zagród zawierali, gdy podle przechodziła.

A przecież bywało drzewiej inaczej; szanować — to jej tam nikt nie szanował, boć zwyczajnie biesowa kuma — aleć tę ufność i wiarę duszną mieli, która już sama przez się niejedną chorość z członków spędziła. Chodzili też do niej, chodzili, z całej wsi się zwlekali do znachorki: ten z nogą, ten z ręką, on z bolącym krzyżem: inny do położnicy przyzywał, że i tego dnia bożego nie stało, a nie raz i dwa koło północkska spać legiwała. Rosłać stąd chudoba czerwieńców w skarbonie przybywał że i Rozalkę przyogarnąć mogła niby dworkę jaką i sama za pierwszą gaździnę w siole uchodziła.

A dziś? — Ledwo raz, lub dwa razy na tydzień zajrzy kto do obejścia starej Magdy i o poradę zapyta a i to w ślepie niby świdry wkręca i na podziękę lichego groszaka rzuci.

Ale wiedziała, w czym przyczyna licha i odmiany, przejrzała wszystko do cna. Spoznała, kto jej bruździł. Ten zaprzepaszczony przybłąda, czarci syn, ten piekielnik przekłęty co ni z nieba, ni z ziemi, bies to wie skąd wnącił się do wsi łońskiego roku i niby król jaki osiadł na Jaworzny Ostrowie i ludziom wsiowym łby pozawracał. Ledwo się

pojawił, aż tu gromadami poczęli się do tego zatracenia zlatywać a przeciskać, a bez mała na kolanach zaklinać, by pomagał, w doli nieszczęśliwym. I uzdrawiał! I co za choróbska wyganiał precz, że nogą nie powstały w ciele. Bolaki, strupy, wrzody przemierzone, co od lat gnoły i ropiały, że ciało marniało i kawalcami całymi gniło i rozpadało się, strupieszale gnaty, ociekłe krwią spiekłą opuchliny... A powiadali wsiowi, że i złego, który rzuca ludźmi, przepędzał za światy diabłu na zgryzotę, ludziom biednym na pociechę w tej żywota udręce. Mocnym go zwano, bo i siłę niepomierną miał i krzepkość w duchu. I czuła Magda ku niemu i nienawiść taką, żeby go tymi spróchniałymi zębami na pasy rozdarła, a tymi pazurami oczy wyłupiła — i strach taki, że ilekroć przypomniły jej się te oczy ciche i spokojne, sinym blaskiem świecące niby ta ustała woda wśród boru, to ziąb jej nieznośny chodził po starych kościach i trzął bez miary, że jako czerw podły zwiwała się w kłębek i dygotała wyschłym szkieletem. Mocarz był a ona ot zwyczajna baba, co ludzi zamawianiem i czarami tumani. Aleć właśnie dlatego postanowiła go zetrzeć na proch, żeby i ślad nijaki po nim nie powstał, ni cień marny. A sposób znalazła; pół roku się głowiła i znalazła: mądra baba była — nie darmo Magdą-Liszką zwano.

Zwiedziła się o nim przeróżnych rzeczy, nasłuchiwała niejednej gadki, co głuchym posłuchem po siole błądziła. Bo z samym z bliska pogwarzyć trudno było. Chorych przyjmował tylko przed południem a całą resztę dnia zaszywał się jak dziki zwierz w swym jaworowym ostępie i nie przypuszczał do się nikogo: ani starego Marcinka — przewoźnika, co mieszkał na przeciwnym brzegu i ludzi na ostrów przeprawiał. Sam i zawsze sam. Pono i w niedzielę świętą z kryjówki na świat nie wyglądał i Boga nie chwalił. Bezbożnik też to być musiał bez pochyby! Bo i pewno. Skąd by takiej mocy wziął, jeśli nie od biesa? Kochał go zły, — to i mocą piekielną darzył.

Tak sobie na ucho gadali wsiowi. — Magda słuchała chciwie i pamiętała wszystko. Nie bardzo tam i wierzyła w czarty, diabły i inne paskudne ludzkie wymysły: kto wie, może tam co odmiennego w osierdzu, kto to wie? Może tam inna władza przewodzi, w żelaznych cęgach duszycę gnie, a serce w stal zakuwa? Kto to przejrzy — odgadnie mroki te?... Może go duszna wiara krzepi niepochytiliwa jak skała, rozrosła jak dąb, straszna mocą jak czar — wiara w coś, czego nie zna

lecz co było i w niej i w innych, co tylko w zjawach sennych majaczy, w niedośnionych snach mrzeje marą bladą, mdlejącą — a na jawie rozplywa się, rozpryskuje, szczeza...

Aleć nie był to niebieski zachwytyt mieciony pod stopy słodkiego Zbawcy naszego, przepokorny, pokłon przed obliczem Boga — nie!...

Wiedźma bystre oko miała i za czujne ucho by tu powinąć nogę...

A gdyby tak to wierzenie mocne rozchybotać, zakółysać jak dębem — rosochem?... I dęby wichrom powolne podają wiśny grzbiet... choć czasem i kret poderwie korzenie... Lepsza krecia robota, bo bezpieczniejsza — wczas uskoczyć można: dąb padając przygnieść może i robaka, gdy mu się gdzie nawinie...

I czart w niej zachichotał cichutko, obleśnie...

Pojrzała na córkę — Cudna dziewczka była i dorodna jak we wsi żadna. Toż i parobcy tracili głowy, a wodzili się za łby o nią. Zalotnica była okrutna a o żadnego nie stała: miłości w niej nie było nijakiej: niby te lody skrzące tęczową przyłudą pod słońko, gdy na odwieczny zapada, migotliwe, uwodne, a zimne... Żarzył jej się w ślepiach czarnych ogień aż iskry po człeku chodziły, kiedy pojrzała, ale taki płomień nie grzał, nie spływał słodkim żarem na duszę pragnącą; niecił jeno niesamowite żądze, palił i trawił we wnętrzu póki wszystkiego nie spopielił, póki dusza nie dotlała...

— Rzuciłabyś precz raz to zgrzebło! Przegarniasz i przegarniasz bez miary. I bez to mi się urodna widzisz, że i drugiej naleźć trudno.. A przecież jest ci pono jeden, coby się tej gładkości oparł?...

Rozalka odwróciła się pytająca...

— A Wawrzon Mocny? He?!... Czarownik z ostrowu? No! — jakże?... dałabyś rady?...

— Nie... Tak!... Na waszą głowę matko — tak!... żeby mi skonać u nóg miała jak pies, tak!... zmogę go i wam oddam — tym włosem oplątam i o ziem miotnę, w staw zawlokę — temi wargami się mu w wargi wgryzę i krwi utoczę, upiorem stanę!... Pomszczę Was matko, tylko dopomóżcie... Mądrzy jesteście — ja jeno urodę mam...

— Pójdiesz na Święty Jan, po południu, jak pierwszy minie żar... pójdiesz tam... He, he! z wielką chorobą — wiesz?... Pokłonisz się, a jak łaskę najdziesz, nie daj się wnet!... Niby długo męcz — ociętna woli jego bądź... aże rozgorze sam... Wtedy ostaniesz... a potem ja... He, he! nabożna

bądź, na drogę książkę dam... tyś piśmienna... Ja też później zagładnę... wiesz? — ja przecież twoja mać!...

Stara z pianą na ustach rozwścieczonym ślepiem tkwiła w twarzy zdumiałej i przelękłej Rozalki — Zniżyła głos do syczącego szeptu i przez zaciśnięte zęby wyrzucała słowa zjadliwe jak trucizna każące duszę niby trąd. A gdy zmożona zawiścią i jadem umilkła, a Rozalka poszła ogarnąć się do komory, postąpiła ku oknu wyteżając siwe sobie oczy w stronę rzeki: wodziła niemi chwilę zdając się czegoś wypatrywać; po jakimś czasie snadź znalazła: wpiła krogulcze spojrzenie w jedno miejsce... — na twarzy czwarzył się długo szydny, urągliwy półśmiech....

Jaworzny Ostrów drzemał. Ujęty wodnym uściskiem rozwidlonej rzeki zasuty po krajach chaszczami, obrosły po urwistych brzegach zielskiem i mątwą na głucho, najeżył się kolcami tarniny, nastroszył drapieżną oprzędzą cierni i jeżyny.

Popołudniowy żar czerwcowego słońca drgał jeszcze rozognioną falą, ale już z wolna przygasał. Za to obsunęła się miękko na ziemię leniwa senność i omdlenie, które pograżyły w drętwoce dalekie sioło, padły na pola, pastwiska, osnuły drzemiącą nudą rzekę i ostrów. Wody bulgotały przyciszonym szmerem, lekko opluskując wysepkę; ciszę przerywał tajnym szeptem ciepły wiatr, co na wiotkich skrzydłach wionął stamtąd zza boru i przypadał mdłym, zdyszany tchem pod znieruchomiłe drzewa... Sza... sst... z boru świst niosę — sepleni osika, szeleszcze liść siwy... sst... w spróchniałym dziuple świeci rdzawy czyr... sza!.. sst... świst niosę...

Zachwierutały wierzchołami jawory, skrzypnęły chropawo... wiatr zmarniał gdzieś w gąszczu olchowym...

W pośrodku ostrow bieląca z pomiędzy gęstwiny chata. Pociągnięte na bladosiń barwę ściany błyskały na świat czarno lśniącymi szybkami okiennic. Pod okapem na przyzbie siedział człowiek żując machorkę w zębach. Jawory rzucały nań głęboki cień, który posuwał się na strzechę chaty, ilekroć silniejszy powiew przykłonił im głowice. Parę topól pruło błękit smukłym szczytem....

Odludnie było i samotno, ni jednej ludzkiej duszy wokoło. Wszystko tu wybujało jakoś bez miary, wszystko przerosło.... W okna zazierały wysokie, zwieszające zielone łby łobody, wokół pachniała ostro macierzanka... Potworne zielska rozpanoszyły się splątanymi dziko

łodygami, poskręcały w żylaste, wiśne kłęby, żeby sam zły nie rozsaplił, przygłuszyły ziemię. Do jaworów przywarły mokrą, wiecznie niesytą wargą dziwaczne grzyby i ssały je, ssały... Smutek się tułał cmentarny po tej przebujej dziedzinie, smęt wnikał do duszy, zaciągnął dziwną tęsknicą jasne, niby blaskiem prześwielone oczy siedzącego człowieka. Zadumał się, zapamiętał... Był znajdą. Stary, na pół zdziczały smolarz znalazł porzuconego chłopca pod borem, ulitował się i zabrał do swej nędznej chatki pośrodku stuletniej kniei. Dobrze im ze sobą było w samotnej smołami. Stary unikał ludzi, z którymi mało się zadawał, bo mu wśród nich było obco. Tyle że trzy razy na tydzień jeździł z mażą do sąsiedniego miasteczka, a i to kwapił się zawsze z powrotem do swego Wawrzonka. Mijały lata, chłopak urósł, zmeźniał i smolarzowi począł pomagać. Dziwny też był z Wawrzonka chłopiec. Bywało w gorące, letnie popołudnia, gdy stary zmożony pracą zasypiał gdzie w cieniu, siadał na wielkim, kamiennym otoku pod dębem i wsłuchiwał się w ciszę puszczy. Błogość ogromna i moc schodziła nań od tej przebujej, naokół rozszumiewającej pogwarą drzew ostoi, przejmowała duszę, wstępowała w ciało. Wsysał wszystkie jej mocne a życiodajne soki, siły żywotwórcze, które drzewa pędzą w górę, mnożą zwierza wszelkiego, rozplenają ludzi. Pił spragnioną wargą ten cudowny odwar, co uzdrawiającym zapachem z ziół sielskich tryszcze, rozkoszą spija. Wchłaniał tę miodosytną mannę, co życiem darzy i zdrowiem, co w dziewczkach ogień rozpala, że pomiotować chcą, co w mężach żądze zażega, starców sili. Więc że nań błogosławną łaskę swą zlewała, mocą nadzierała — kochał tę mać przyrodę, kochał i czcił; wszystkim mu była: piastunką, rodzicielką... Bogiem. Poganin był. Wierzył w nią wiarą dziecięcą, taką, co nie rozbiera, nie rozważa, jeno z ufnością bezkresną składa głowę na umiłowanej piersi, bo pokorna jest i kochająca. I tać wiara gorąca a prosta, to oddanie serdeczne, pokłonne moc ową i siłę w nim wzmożyło. I tak zwierzał się z nią coraz krzepciej, przepajał, przenikał. Nie było zioła, któregoby mocy nie znał, nie było otrui, przed którąby go nie przestrzegło. Raz go smolarz zaszedł na tym jak objąwszy pękaty, kłakami mchu zarosły jawor przytulił się do pnia z czcią wielką i miłością. Innym razem padł twarzą na ziemię przed wiekowym dębem i tak przeleżał aż do zmroku; a gdy wrócił na odwieczerz, jaśniał dziwną jakąś pogodą i spokojem. Stary zdumiony zapytał:

— Cóż ci to?

— Modliłem się i moc zeszła na mnie — odparł Wawrzon i nic już więcej dnia onego nie chciał odpowiadać.

Od tej chwili poczęły się w smolarni dziać różne dziwy. W parę dni potem stary rąbiąc drzewo w lesie zaciął się silnie w nogę i krwią broczył. Gdy Wawrzon przerażony podbiegł i dotknął rany, krew przestała uchodzić, a rana zaczęła się rażno zasklepiać. — W rok potem wybrali się obaj na kiermasz do Psiej Wólki. Z powrotem spotkali przy drodze jakiegoś nędzarza owrzodzonego na całym ciele ropiącymi krostami. Wawrzon kazał mu iść za sobą do smolarni, gdzie nieszczęśliwy pozostał przez cały tydzień. Codziennie w pierwsze ranki wywoził go Wawrzon w las; tu kazał stawać pod jakim drzewem, po czym wyciągał rękę i wodził nią wzdłuż ciała. Wtedy strupy rozwierały się, wrzody, co lata całe jątrzyły, dojrzewały gwałtownie wyrzucając zapiekłą ropę. Po tygodniu żebrak porzucił zdrów całkiem z błogosławieństwem ustronną smolarnię.

Wieść o uzdrowieniu rozniosła się po okolicy; niedługo było i czekać, aż tu z postronnych siół i słobód zgarniali się ludzie pod ostępem smolarzy. Wawrzon serce miał litosne i miękkie jak u gołębia, chciał biedakom dopomóc, więc nie odmawiał. Od ranka do wieczora pracował bez wytchnienia.

Tymczasem zmarło się staremu; sękaty jesion zwałając się pod ośnikiem drwała przygniótł go na śmierć. Wtedy Wawrzon rzucił smolarnię, rzucił ostęp i osiadł na Jaworzny Ostrowie, gdzie i samemu i ludziom było dogodniej. Do południa przyjmował chorych, a kiedy słońce przesunęło się poza środek niebieskiego skłonu, ostawał sam.

Rok już tak przebytował na swem odludziu. Umiłował smętek wysepki, wgrążył się w jej ciszę. W srebrne świtania poranków wstawał z łoża i wychodził przed chatę, by z zawsze tym samym zachwytem, z tym samym rozmodleniem w oku podziwiać cud promiennego poczęcia. Co wieczór żegnał rozognioną źrenicą zasuwaną się za leśne obrzeża słońce, spijał chciwą wargą rosną łaskę nieb.

Tymczasem chwasty koło domu jego rozrastały coraz bujniej, wzmagaly się, tężniały. Nie ruszał ich, nie plewił. Więc wreszcie sięgnęły po strzechę, zawlokły ściany, spętały komin.... I tak zakryły chatę, opanowały ścieże. I Wawrzon wśród nich zanikł. Już do siebie nie

należał: był częścią ostrowu, z którym go społy niby żyłaste, napęczniałe krwią ścięga bulw, łodyg, kłęczów. I rozpląnął się w tej rozszalałej skrętami oplączy, zaprzepaścił w potwornym przeroście.

Dzierżyły go przemożne spoiwa; zerwać je — trzebaby samego zniszczyć, skruszyć na proch, bo już za głębokie w duszę zapuściły zagony; wyrwać — krwią by ociekł serdeczną...

Czasami tylko nachodziły go dziwne zachcenia, brała bezbrzeżna tęsknica lecieć gdzieś na kraj świata do ludzi, do słońca, przygarnąć do piersi szerokiej coś, co jak ptaszyna wdzięczna trzepoce, co wiotsze niż ten oczeret zwiewny, kraśniejsze niż kaliny jagody — otulić tułaczą głowę samotnika czymś, co nad len miększe, nad miętę wonniejsze — nasycić spiekłe usta czymś, co nad miód słodsze, co z lipy kwietnej przejasną oskołą się sący...

Drzemała w chmurnych wnękach duszy jeszcze niezaspokojona żądza, rozkołysująca od czasu do czasu palącym wirem krew, zasobna mleczem. Mocny był, władny, niezmożony jej niedopełnieniem...

Wawrzon Mocny nie zaznał niewiasty...

Wtem marzenia pierzchły. Przed nim o parę kroków stała smukła dziewa patrząc na poły z pokorą, na poły z żarem utajonym w głębi skrzęcej, ciemnej źrenicy.

Wawrzon zmarszczył się: nie lubiał, gdy go nawiedzano nie wporę.

— Wybaczcie, Mocny — jęła miękkim jak ligawka głosem — wybaczcie nieszczęśliwej... ale już końca tej udręki, co ciało młode toczy, przejrzyć nie mogę. Więc żeście władni, że w mocy Waszej zło pognębić, złą dolę przemóc — przyszłam i do nóg Wam się ścielę proszalna: wróćcie mi zdrowie, oddajcie siły, co gdzieś w zaturę poszły, zleczcie mi ciało... Bo zły jakiś opętał mnie i o ziem rzuca, pianę toczy, po urwiskach wodzi, że już ni spać, ni pożywić się, ni wytchnąć, ni żyć... Oj doloż moja, dolo zaprzepaszczona.

Zmiękł i podniósłszy klęczącą Rozalkę, kazał bystro patrzeć sobie w oczy. Wzniósł rękę ku skroniom dziewczyny, a potrymawszy chwilę w niedużej odległości, począł ją zniżyć wzdłuż ramienia. Doszedłszy do łokcia znów wstrzymał się. Z zaciętych ust wypłynął urwany rozkaz:

— Drzyj!

Rozalka stała nieporuszona, tylko w kątach niedomkniętych oczu tlił się jadowity błysk. On jednak był cierpliwy; przebiegł ręką po ramieniu

lewym do końca i przeszedł na prawe. Dziewczyna nie drgnęła. Wpiła się tylko w twarz znachora dzikim, namiętym spojrzeniem i czekała, rychłoli przyjdzie pora...

Lecz twarz Wawrzona była dotąd jak kamień twarda i zimna. Może tylko brew zjeżyła się silniej, może moc skupiła się zwarciej... Teraz położył prawą dłoń na głowie a kłykiem lewej ześlizgiwał się w poprzek ciała...

Rozalka uczuła lekkie drzenie, ale broniła się jeszcze. Nie była przecież opanowana biesem; widziała już tych nieszczęśników, jak w okrutny tan się puszczają, w kłębach wiją, w płasawicy szamocą. Lecz ona zdrowa — jeno mać przykazała nawiedzoną zmyślać...

Nie wiedziała ni Magda, ni córka, że tacy, jak Wawrzon i ze zdrowym dziwnych rzeczy dokażą; tylko że wtedy żmudniej i dłuższego czasu potrzeba. Tymczasem nie dawała się. Wawrzon w miarę mienił się coraz dziwniej. Zwykle spokojna, pogodna twarz przybrała posobę jakiejś zażartej zaciętości, i uporu. Żyły na czole wystąpiły w grubych, sinych węzłach, oko jarzyło się wewnętrzną pożogą: rozjątrzyła go ta ociętna dziewczka — chciałby ją zmóc, pokazać moc swą, do nóg zwalić drgającą... Szyd, co wałęsał się w kącie kraśnych warg, podzegał go kłującym ościeniem...

Do tego przyłączyła się żarna tęsknota posięścia tej pięknej czarnobrewy, tej pierwszej w życiu, jedynej, posięścia przez moc, przez władę...

I tak zmagali się nawzajem odwiecznym bojem męża i niewiasty. — Lecz on już brał górę; już chybkie drgania wyginały ciało Rozalki, już ramiona poczęły się skręcać, oczy obłędnie obracać — rżesny, zimny pot ściekał po kruczych warkoczach...

Ostatkiem woli zebrawszy się w sobie wyrzuciła przez ściśniętą niby kleszczami krtań:

— Zelżyj! — ja twoja!..

I obsunęła się cicho na murawę...

Chwycił ją krzepko, przygarnął do włochatej piersi i jak dziecię poniósł do chaty z szeptem:

— Pójdź dziewczko umiłowana ty moja, pójdź...

Znikli w otworze drzwi, co się za nimi zaparły... Zasepleniły drżące liście osiki, rozgwarzyły topole, jawory.. osędziały, usiany wargami hub

klon wyprężył jeden z swych przestronych konarów i spłynął młodą zielenią na strzechę — położył ciężką, ojcowską rękę jakby błogosławiąc temu, co się spełnić miało...

A reszta drzew wtórzyła przyciszoną gęźbą...

... Jezus tedy, gdy ją ujrzał płaczącą i Żydy, którzy z nią przyszli, płaczące: rozrzewnił się w duchu i wzruszył sam siebie — I rzekł: Gdzieście go położyli? — Powiedzieli Mu: Panie pójdź a oglądaj. I zapłakał Jezus. — Mówili tedy Żydowie: Oto jako go miłował — Jezus tedy rozrzewniwszy się zaś sam w sobie przyszedł do grobu. A była jaskinia, a kamień na niej był położony. Rzekł Jezus: odejmijcie kamień. — Rzekła Mu Marta, siostra tego który był umarł: Panie, juści cuchnie, bo mu już czwarty dzień. — Powiedział jej Jezus: Zażemci nie rzekł, iż jeżeli uwierzysz, oglądasz chwałę Bożą? Odjęli tedy kamień. A Jezus podniósłszy oczy swe wgórze, rzekł: — Ojcze, dziękuję Tobie, żeś mię wysłuchał — A jamci wiedział że mnie zawżdy wysłuchujesz, alem rzekł dla ludu, który około stoi, aby wierzyli, iż Ty mnie posłał — To rzekłszy zawołał głosem wielkim: Łazarzu, wynidź z grobu. I natychmiast wyszedł, który był umarły, mając ręce i nogi związane chustkami: a twarz jego była chustką obwiązana. Rzekł im Jezus: Rozwiążcie go i puście, aby szedł — Wiele tedy z Żydów, którzy byli przyszli do Maryi i Marty, a widzieli, co uczynił Jezus, uwierzyli weń...

Rozalka opuściła znużona książkę i zamilkła. Magda z obłudnym zachwytem podnosiła wypłowiałe oczy na obraz zawieszony nad wejściem, wyobrażający „Rozdzielanie chlebów”. Z obrazu przerzucała krótkie, świdrujące spojrzenie na zamyśloną twarz Wawrzona, by wnet zerknąć dziwnie jakoś ku córce. W izbie zaległa cisza, przerywana bzykiem much lub buczeniem trutki dochodzącym ze dwora.

Wawrzon siedział w cieniu, w kącie świetlicy bez ruchu, bez słowa. Od łońskiego lata zmienił się bardzo: wychudł, szerniał i jeno oczy mu niesamowicie łyskały.

Jakaś ogromna troska osiadła na ongi spokojnem czole i wyryła głębokie koleiny. Szczęka dolna wysunęła się jakoś niepomiernie ku przodowi, nos zaostrzył jak u rabego sępa dziób. Sposepniał też, sponurzał do nocy złej podobny. Jeno ilekroć na Rozalkę pojrzał, rozpogadzał się, weselał, ale nie na długo, bo zaraz popadał w tępą zadumę.

Oto już rok zbiegał ku końcowi od czasu, gdy weszła w progi jego pustelni. Weszła jak płomień czerwony, jak żagiew i zadymiło wszystko pożogą. Te noce upojne rozkoszą, te podrzuty ciał, spiekłe pocałunki... Ta tęsknica w przewlekłe ranki spełniana w wichurze szału w długie, odurzające popołudnia...

Jeno czasami jak łysek, jak oczymgnienie przebijał się w niej niby kłam i mrozem pierś skuwał. Wtedy ostry ból wżerał się chłodnym krajem i kaleczył okrutnie... Ale jedna pieszczota jej toczonych rąk, jedno przeciągłe pojrzenie roztopiały ścięte zimnem na chwilę serce. Kochanicą mu była, promykiem jasnym w jesienną szarugę, wszystkim... Poszedłby dla niej jak ów Jontek z klechdy za siódmą górę, za siódmą rzekę po dzban wody żywej dla umiłowanej. Nie bronił niczego, ustępował najmniejszej zachciance — Wielkie też, dziwne poczyniła zmiany w jego chacie. Na pustych ścianach świetlicy porozwieszała przeróżne obrazy, których zrazu nie pojmował. Przed jednym z nich co soboty paliła lampkę olejną i rzucała się na kolana a to tak, aby on widział. Zrazu przyszło mu to dziwno, potem jął dopytywać, dlaczego przed tą niewiastą z dzieckiem u piersi pokłon składa.

— Spoznasz inną porą — zbywała go tajemniczo. I obejście zmieniło się bardzo. Powyrywała łopian, co mszyste liście rozwiódł dokoła, wypełła mątwę, wykorzeniła oset... A wszystko z taką zaciekłością, z takim zawistnym żarem, że aż dziw miał i trwoga. Widział, jak trzebiła mu rodzimą dziedzinę i nie opierał się, choć z każdym wyplenionym korzeniem jakby mu własne trzewia targała. Zacinął zęby z bólu i zmógł się... Na trzebienisku zasadziła wiosną warzywa, kwiaty... pod lato wykłuły się zielone pąki i zaścieliły świeżą runią spulchnione podścielisko. Wyrósł nowy, młody świat i stłumił stary wykarmiony na jego sokach.

W niedziele i święta przychodziła stara Magda i w troje dożywali wieczora. Rozalka wydobywała ze skrzyni jakąś pożółkłą księgę i czytali: dziwne rzeczy, niesłychane... O wielkim, władczym Duchu, który tchem swej woli wyrzucił z mętów przedwiekowych rodzajną ziemię, o pierworodnym grzechu, o ludzie wybranym Izraela — o proroku białym i czystym, o cudotwórcy, co ludzi wskrzeszał, jemuże na imię Jezus z Nazaretu, o męce Pana, zmartwychwstaniu i wniebowstąpieniu, o Najświętszej Paniencie...

Wawrzon słuchał. W pierwszych tygodniach zdało się słyszy jedną z tych starych gadek, jakie po ludziach chodzą, staruchy przy watrach zimowych gędzą. Wywiodły go z błędu wskazując na wiarę u innych... Począł rozważać. — Jakże więc i ta moc, którą braci dźwigał, nie była z ziemi — rodzicielki, bezlicznem ziołem kraśnej, borami szumnej, wodami wilgnej?... Jakże — więc i ta władza jasnowidza, którą ludzkie bolenie przezierał, nie z łona tej matki poczęta, co w radosny krzepiącą się siłą słońca jarz rzęsnym pokotem zlega, kwieciami wonna, mlekiem ciekąca?...

I żal bezbrzeżny i zawód zalały duszę. Dawna wielka wiara ostygła, gaśla... Jakżeż marny i nikły wydał się ten wielbiony świat, ten Bóg z zarania życia... Wszczęła się rozkiełznana walka. Było w nim jakby dwóch ludzi, dwóch śmiertelnych wrogów; czuł jak mu się przesuwają w załomach duszy stare pokłady wierzeń niby bryły skalne wyparte ze ślepych dziedzińców podziemia, rozpryskują w odruzgi i opadają zalegającym miąłem na dno... Tknięty przeczuciem śmiertelnie ranionego zwierza uciekał, skrywał się w najnieдоступniejszych zakątkach wyspy. Nie pomogło. Wciąż we snach majaczyła piękna, pociągła twarz Tego tam w świetlicy na obrazie, Pasterza dobrego i cichego. I już nie wzbraniał się słuchać; chorzał tylko coraz częściej i moc tracił. Zawiesiło mu nad głową trupa rękę jakieś straszne widmo i groziło pomstą. Miał je tuż nad sobą, że bał się oczu podnieść, myślą ściągnąć; jeno nie wiedział jak przyjdzie i dlaczego, ale że już niedługo go czekać — to pewna...

Wyszli ze świetlicy przed chatę. — Miało się pod nieszpór niedzielny, rozpogodzony świat. Na zachodnim zrębie nieba parę wrzecionowatych smugów pławiło brzegi w rozżagwionym skonie słońca. Czarne klucze kawek wrażając się dziobem w modrzejący błękit, rysowały w ciemnych, rozbieżnych szlakach. Na ziemię zstępowała rosa wieczorna i rzeźwiła trawy po widnokrężnych pastwiskach i łąkach...

Od sioła nadpłynął rzewny odzew sygnaturki, by oznajmić ludziom pobożnym, że oto pora na uczczenie tej chwili, kiedy Anioł Pański wieść przyniósł Przeczystej Maryi, jako pocznie syna...

Magda z Rozalką ukłękły zwrócone tam, gdzie z pomiędzy gałęzi tlił zachód...

— Anioł Pański zwiastował Maryi... — poczęła głośno wiedźma a słysząc jeno głos córki, jak wtórzył, mocniej już z groźbą w oczach wwiercając się w chmurną twarz stojącego Wawrzona powtórzyła

wezwanie... Zachwiał się, jak z nóg zwałony przygiął kolano i głosem głębokim, choć znękany odpowiedział: — I poczęła z Ducha Świętego...

Potem modlili się już wszyscy razem. Skończywszy „Zdrowaś” dźwignął się ciężko i rzekł cichym, dobrym głosem: — Pozdrowiłem Panią jeno tu... we wnętrzu coś się do cna załamało...

...Podjął po raz trzeci. Wziął dziecko z rąk matki, i zaczął mu nacierać ciemię. Kiedyś wystarczyło lekkie zgjęcie palca, by podobne guzy rozewrzeć. Dziś nie chciały ustąpić, owszem zdawały się jeszcze twardnieć pod naciskiem dłoni. Chłopak stękał i jęczał, na nogach wzdymały się krwią nabiegłe ociekliny...

Po ludziach zebranych w olszynie przeszedł głuchy pomruk; patrzyli zdziwieni, przerażeni, oczom nie wierząc. W gdzie jakich oczach migotało szyderstwo i zła radość. Ceglasty rumieniec wypełził na zbiele policzki Wawrzona. Minęły już dwie godziny od czasu, jak zajął się dzieckiem. Postanowił skończyć. Naprężył się w sobie, skupił wszystkie siły i ujął w obie dłonie jego głowę: darmo... leżało obojętne, nieczułe na to niegdyś tak piorunujące dotknięcie. Pół martwe, zsiniałe oddał matce. — Poczęła nań miotać najzjadliwsze obelgi, aż ją odprowadzili starsi. Wtedy rzekł do okalającej go gromady:

— Ostawajcie z Bogiem ludzie dobrzy i poniechajcie mnie... skruszyła się moc moja...

Odeszli. Zdała jeszcze słyhać było szmer głosów, brzęk odkręcanego łańcucha, raz urągłiwy śmiech zahuczał... Potem miarowy plusk wioseł i... zgłuchło...

Wawrzon pozostał sam.

— Spełniło się... — powtarzały bezdźwięcznie wargi.

— Spełniło się... — zagwizdał w przelocie wiatr i utknął w sitowiu...

— Spełniło się... — zaszemrały wody i pociekły dalej...

Niežnośny ból zagnieździł się pod czaszką i parł o ściany. Czasami myślał, że mu ją w spoiwach rozsodzi, w szwach porozluźnia. Olbrzymi dzwon zawiesił ktoś i bił spiżowem sercem na trwogę. Rozpętała się w głowie potworna wirownica i gnała, gnała bez tchu, bez postoju... Rozszalałe sprychy ociekały kipiącą krwią, co siklawą zalewała mózg...

Z trudem opanował się. Osądził jasno: tamto... stracone!... bezpowrotnie, beznadziejnie. Trudno... dola chciała... Została ona...

Hej! Hej! dziewo umiłowana tyś mi moc zabrała, stopiła w błędnym

ogniu niesytych żądz, krzepkość duszną zwlekła, zwarzyła krew... Hej! hej!.. przyłożyła biała rączka topór pod zielony dąb... Niech tam!.. byleś mię jeno miłowała... Jabym dla cię w kawalce się pokrajać dał... Niech tam!.. byleś ty mi się nie odmieniła miłośnico moja!...

Teraz już ostaniemy razem czekać dnia onego, kiedy kostucha — matula w dziewosłębny przyjdzie... Ja cię na rękę nosić będę gołąbko biała tak mocno przyhołubię... Jeszcze starczy sił... poźrzyj! przestronne piersi mam, jest się gdzie przytulić... Ja ci spod nóg ciernie i osty wyplewię, kamienie na miałki zetrę piarg i drogę kwieciem uścielę... Jeno rękę daj!.. Jać w przygodzie stanę — w przyjazne skryję ramiona... jeno mi się zwól!... zorzo ty jasna!...

I poszedł ku chacie żądny pocałunków, paru dobrych słów. Przed chatą nie było nikogo. Żaden szelest nie nadchodził z wnętrza... śpiesznie wstąpił w świetlicę. Była pusta i głucha. Rozglądnął się po ścianach i zadrżał!... obrazy poznikały... W miejsce nich wyzierały gwoździe, najeżając czarne głowy... Wyciągały ku niemu swe długie szyje, zbliżały tuż pod same oczy i znów drocząc się wślizgiwały w deski...

Naokoło znać było wielki nieład. Skrzynia z rzeczami Rozalki rozdarta na oścież przykro uderzała w oczy opustoszałym wnętrzem. Parę łachmanów walało się po toku, w kącie rozbite w pośpiechu zwierciadełko... pod ławą od wczoraj wypuszczona z rąk zzółkła książka...

Z rozdzierającą ciekawością patrzył dalej... Na progu porzucona wstążka krwawiła jedwabiem...

Przeszedł w sień. — Drzwi z tyłu wywalone z taką gwałtownością, że górna połać wypadła z zawiasów i zwisała...

Na ryglu strzepy zapaski...

Pojął...

— Odbieżała... odbieżała...

Wrócił do świetlicy. Na stole leżał wykręcony w węzownicę sznur, którym Rozalka zwykła ściągać skrzynię...

— To dla mnie..

Bezmyślnie wziął go do ręki, ułożył pętlę, zawęził w supeł. Stanąwszy na zydlu przytwierdził pętlę do belki, założył na szyję... pchnął zydel daleko pod okno...

W izbie zarzęziło...

Dobiegało południe. Cicho było na Jaworzny Ostrowie, cicho i sennie. Żar lał się strugami z pobladłego nieba. W skwarnym powietrzu przeciągały bez głosu rozognione południce. Ciepły ciąg szedł ze dwora, wnącał się do chaty, przepływał wązką sień i wypadał drugą stroną w sad... W górze strażowały zeszywniałe drzewa. Po rozpadlinach, w szparach gruntu popadanego w drobne żyły, po wykrotach słońcowały się pstre zwinki... Para padalców wysunęła się z kryjówki i pozwijała oślizgłe przeguby w dwa czerniejące na piasku pierścieńce. Tu i tam świerszcz jęknął, konik zaćwierkotał... W nadrzecznych krzaczach tęsknił samotny głos wiwilgi.

19 lutego 1907

Kłątwa

W godzinę chuci

Kłoniło się na podwieczerek. Duszny, niesamowity czas jesienną, przeżrałą dawno porą było, kiedy już zwiezion zbożny sprzęt, rozprzędło lato babskie kądzielne włosy, pomiotły drzewa...

Tam w dali łęgi, ściernie płanie, ozime uwrocie, sposoczyło słońce... mocne, dziw żarne w tej chwili, pobudne...

Więc rozgorzały zioła, ciekął się niewczesną rają zwierz, schutnieli ludzie...

Zawoniała przynętnie macierzanka, rozwiodły wabne czary dziewanny, uroczniki... rozwarły lubieżnie przęsa skrzypy, wzdęły plemiona modrzeńce...

Cichajcie!.. cyt, cyt, cyt!..

Skleszczyły się w dzikiej rozkoszy stepowe turzyce, splotły lebioda z kostrzewą za bujne, rozwiązłe kędziory...

Pijane szalem, potrute wyślizgły się dzwona glist ziemnych z zabójczych uścisków czerwiody...

Cichajcie!.. cyt... cyt... cyt...

Dziwny odwieczerek, jesiennej żądry smęt...

Pocichły sioła, zgłuchły łany wsłuchane w krwi swej szept...

Wieczornej zorzy szal płony na starczy, karli łąg. W parną godzinę pożądań, w kłątewną chwilę zapłodu, gdy słońko na zapad się chyli, skorałą grzebieńce pagórów...

Jałowy żar, wyrodny pęd, wszetecznych sparzeń chwila...

Cichajcie!.. cyt... cyt... cyt...

W prześcigłym sadzie pogwar wystających, zległych drzew, pomiotem hardych, błogosławnych.

Stary, dobry sad — Błażeja Żwacza włość...

A w sadzie cicho. Po ścieżkach liście się rozesała zwiotszałą pościelą, zmarniały słoneczniki...

Tylko hań pod przełazem modrzeje wrotycz, hołubi się przytulia...

A w sadzie cicho... Liść jeno zżółkły spadnie, zaszeleści, zawinie się w kręgach i legnie...

Przy wrótni spomiędzy czaharów przed chatą człek widniał młody, urodziwy i bystro poglądał na gościniec. Snadź niespokojny mocno i nieswój, bo bez postanku odwracał oczy ku zagrodzie, co spoza drzew bieleła i znów wylękły wzrok włókl spopieliałym kurzawą traktem.

Wyglądał kogoś — ponoć nie stęskniony gościa.

Odbywał stróżę na przeklętych czatach przed rodzicem własnym, przed ojcową sadybą, bo brat młodszy z macochą się w chacie sparzyli w duszną godzinę zachodu, w poblaskach łuny wieczora.

Więc strzegł ich przed ojcem postawion na straży u wchodu, gdy się stary przed świtem na kiermasz wybrali.

Czuwał, by ich przestrzec, gdy będzie powracał w obejście, niosąc korale, okrajce dla Halszki nowożonki, dla synów niedzielne przyodziewy.

A miał wrócić o zmroku drogą, co hań się wije ku miastu.

Przeczytał się Wonton, przywarł do ziemi strażując kazirodnej miłości. Bo taka wola Ostapa, młodszego brata.

Dziwnie przemożną miał władę, że nie lza się było Wontonowi przed nią uchylić, swobodną pierśią odetchnąć. I nie było to miłowanie braterskie, serdeczne — Bogać tam! — Jeno się go bał czegoś okrutnie i truchlał na jadowity błysk tych źrenic ciemnych, migotliwych niesamowitym żarem. Chmurzyła się w nich dzika moc i skuwała mu wolę, że ni kroku nie ważył postąpić.

Wonton miał serce śmiałe, nieulękłe na śmierć i przygodę i niejednemu by dogodził: mocny był, w barach rozłogi, śmigły — nie byle kogo się uląkł. Przecież, gdy Ostap wpoiwszy weń połyskliwe swe ślepie cichym a przykazującym głosem coś mu prawił, słuchał przystając mimo woli. Nieraz bywało niema go parę niedziel doma, zwyczajnie na zarobkach — myślałbyś, że się trocha odetchnie, z pod ciężkiej ręki wychynie... darmo! Wonton nie śmiał przeciwieć się bratu ni tym pomyśleniem marnym, co w tajni dusznej się nurza, zakryte mglicą, roztratne, ni tą płoną chęcią.

Przecze?... Dlaczego?...

Nie wiada... Może, że miał duszę wierzącą...

A był ci Ostap człek mały, przysiadły i wątły; siły u niego w członkach nie było nijakiej, jeno w oczach żglił się trawiący, niby cień czerwienice biesowe na uroczysskach podleśnych. Żarzyło się tam coś, mrzyło zielonym ognikiem obłądnie, paląco, uroczenie.

Sprawiedliwie też powiadali ludziska, że człek ten ni Bogu świeczki nie zażegł, ni diabłu ogarka.

Bo i prawda. Bogać się nie bał ni krzyne, bies za kmotra go nie chciał.

A wszystkoć u niego śmiech, a wszystkoć duby i mierzwa.

Czarci zatraceniec!..

Hej, hej! nie potrać było Błażeju, stary młodziawej żonki brać, nie potrać!..

Nie lza! chciałeś. — Pojoneś Halszkę, pojoneś krasawicę na dolę i niedolę, być porubstwem stadło skaziła.

Hardoś się nosił, z junoszów przekpiwał: córkęć powiła. Miłowałżeś ją, miłował i zweselonym okiem po niej wodził, gdy ci dziecię karmiła. Jenoś zabaczył, że wodził ponoś i drugi. I nie dziwota! Cudna to była niewiastka! A małe ssało pierś krągłą, odętą karmią krwi maci. I szło młodziwo słodkie jak pieżga pszczelna, gruźliwość jędrne, posytne...

Pozierał Ostap i łuną kraśniał, ilekroć spotkał się z żrenicą macochy.

Tak i rozgorzeli oboje...

A dziś sprzęgli się tam w chacie, w komorze: wieczór bo był jakiś dziwny, pobudny, więc nie zdzierżyli parnoty...

Pod czas strażował Wonton przy wierzejach.

Naraz mróz go zajął po pacierzu. Zdało mu się, że ktoś zaszedł w obejście z zatyla furtą od sadu, tam gdzie się łan poczyna. Skoczył gromem, by zajrzeć.

Błażej to był, co znieacka miedzą ugorową powrócił z miasta, wybrawszy dłuższą nad zwyczaj drogę: sąsiada odprowadzał, więc mu się i zboczyło. Ręką już imał skobli.

— Ojciec poczkajcie no, coś wam rzeknę!

Obejrzał się na Wontona i nagle jakoś mu niedowierzanie błysło w oczach:

— A to stanie nam czasu i na potem...

I już nie zważając pchnął przed się dźwirze...

Zajrzał w głąb...

Krzykneli... rozsprzęgli się...

Rozchełstana, sromem, lękiem zejmana Halszka przypadła na ziem za dzieżą, Ostap nie wiada, zestrachany, czy okoniem stanąć gotowy nie ruszył od wyrka; jeno po licu niejasne światła chodziły i pobiełał niesporo...

Błazej zrazu nie odrywał oka od cudzołożnicy, jeno zapuścił w nią wejrzenie szklane bólem i krzywdą, zda się — skamieniał. Wtem przeniósł je na Ostapa: coś go poderwało z miejsca, że począł się wokoło oglądać, niby za czymś dybiąc, by cisnąć w wyrodka; lecz rychło poniechał, twarz mu krzepciej zziemiała, łeb powiśł ku nalepie. Borykało się w nim pienię niedobrze, coś straszego ważył...

Znienagła dźwignął ku synom wazkim miotem oblicze okrutne wołą, wzniósł w górę ręce drgające, zradlone udręką, zwężłone ręce rataja: władny był jakiś, dostojny z tym włosem sędziwym w posoce zachodu, w sukmanie odświętnej, spłomienion...

— ...Kłątwa wam syny wyrodne! Kłątwa wam! Ty Boże wielki w niebie słysz i słowa pełń! Ty ziemio święta czuj i mścij! Pomsta na was ojcowca!.. Niechaj wam łan szalejem zlega, ostem mątwi; niechaj was ugor tarnią posoczy, blekotem truje! Bezdomne włóczęgi, żebraki!... Radości nie znajcie nijakiej, tą klawą przeżarci do sedna, do wnętrza duszycy!... Na próchno was zmiele, na rdzawe, na stęchłą, zbutwiałą czerwotocz!... Bezrolni najmyci, zesłańce!... Niech dzień ten w czas swój zachodowy przekłęty święci dla was skon... w ten dzień, za rok, w odwieczarz pomrzecie oba!...

— ... Chi, chi, chi! — zarechotał urągliwie Ostap. — Słuchaj ty głupi stary, nie wierze ni w ciebie, ni w kłątwę twoją. Chi, chi, chi!.. Pójdź Wonton!, cóże tak dygotasz jak osika na wietrze? Pójdź — ino a nie wierz mu, mówięć, nie wierz mu, bo... at!.. co gadać... ino się nie przyostawaj!..

Szarpnąwszy brata za świętę, pociągnął na gościniec...

A był to dzień Ofiarowania Przeczystej Paniienki, gdy już liście rzęsnym pokotem zalega, słońko u stoku się waży, a po polach, po szerokich porozwiesza mgławe czechła jesienny, cichy smęt...

Nagle skądś, spod zielni zerwał się wichur mocny, zagonny, opasał zeschłym różańcem liści, zgarnął w lute pazury sypkie piętugi piachu i cisnął im w twarz na odchodne...

Słońko gdzieś z nagłą zapadło i poćma gwałtowna, jesienna

zapuściła na świat grube, nieprzezorne rańtuchy.

Zawyło po ono wtóry, zaniósł kurniawą i rozhułała wichrzyca...

Znacie jesienne nawałnice, gdy po rozłogach drzewa w przekłonach się chylą, gawrony w kruczych korowodach kraczą, rozelzawi się strugami dżdżu rozmokły, nudny świat?...

Znacie chery poletnie, rozkiełzłe, gdy po chojarach biesy się kołyszają, po wiatrowiskach jędzony chutnią, a po stajach, po samotnych wypatruje ślepe oczy czarna, biedna noc?...

W taką godzinę wygnał Błazej Żwacz synów z ojcowskiej, rodzimej zagrody...

Więc poszli w wicher, w szarugę, w poświstach zjuszonych orkanów, w odchlisko mgłami ciężarne...

Na lewadzie

Była kotlina — przestrona, darniowa piana, podszyta łączą i zieleń. Pagóry po krańcach, uroczyska pobrały się wkoło, zsupliły we wian przełęków, wierzchołów... a szłomy gorzały w pokrwawiu.

Zachód bo się rozżagwił czerwcowy, więc i łuniały w zgorzeli.

Na przełaj przez darń, przez murawę przebierał się modrawą strugą potok, rozwodził pośrodku w wiszarem zgłuszoną młaczkę i zatracił hen za kurhanem, gdzie zagaj bukowy się ćmawił. Poprzez rozpadlinę, co owdzie się rzuciła między dwa osypiska, wncęły się poślednie promieńce i klinem przypadły w lewadę: spłomieniły się gładysze, zapachniały dźwońce, marzanna, zagrały grzechotki stada wedle moczaru... tak słonko żegnało dolinę...

Na zboczu połogiego wysypu pod wierzbą, płaczką-samotnicą dwoje młodych siedziało.

On dziewczkę wpół objął, a drugą rękę przyłożywszy do czoła zapatrzył się gdzieś daleko przed siebie, w rozświel zachodową...

Choć droga mu być musiała jedyna, płowowłosa Hanka, przecież cień mroczył młode lice, udręka cicha, tajona mętniała w oczach.

Niewesoło miłował Wonton, niewesoło.

Zawszeć pono był taki ponury i markotny. Nie widziała innego od owego dnia, jak przyszedł z bratem Ostapem do slobody ojcowej, aż do tego wieczora, co ot na łanach goreje.

Pomni, jak wstąpili do zagrody jej rodzica przemokli, nasiąkli deszczem, zgłodzeni... w jesienny, późny dzień — jak im warzę ładziła, podejmowała...

I pozostali w chacie najmytami.

We wsi nikt ich nie znał, bo snadź z dalekich stron przywędrowali, ojciec też nie wywiadywał... bo i po co? Sieroty pogorzelcy... Boże dzieci. Pracowali niezgorzej, jeno młodszy czasami zbereźnikiem patrzył, zbożności urągał, że i stary sam nieraz zgromił i rozeźlił się niepomiernie, ale że był chłop nie leniący się a czasu orki czy kośby nie wylegiwał jako on głupi Maciuś za przypieckiem i roboty się miał piorunem, więc mu gazda jeno luźne rozpinał wnyki i poszerzał oka.

Różnie też obnosiły go baby po siole, choć nie zawsze po bożemu; ale czego to jęzorami nie wymięła?

Obstawał sam za nim, przeto i milkły. Pono nawet o dorodną dziewczkę z przysiołka, gospodarską córkę zabiegał i o dziewosłębach zatracał.

Wiodło mu się.

Hankę coś odeń odrzucało strachem i odrazą okrutną, że się nim jak jadowitym gadem mierzyła. Przychodziły na nią godziny nieprzejednanej nienawiści i lęku przed tym człkiem wieczyście urągliwym, śmiejącym. Szeptąło w piersi dziewczuszej, że od niego przyjdzie na jej młodą dolę jakieś wielkie, niechybne nieszczęście.

Za to umiłowiała całą duszą Wontona. Może za to sumowanie od rana do nocy, za to utrapienie, co mu się uporczywie na szyi wieszało, za wielką cichość serca?

Smutny był zawsze i zadumany; coś robaczywego toczyło duszę. A choć na chwilę, gdy mu biedną głowę przyciskała do piersi, o tym zapominał, to nie na długo; nieraz bywało w całunku miłosnym wykrada się przez bielejące wargi głuchy tłumiony stęk. Ważki snadź ciężar ugniatał Wontonową duszę.

Radaby go zdjąć, cisnąć precz daleko, lecz nie wiedziała jak. Nie zwierzał się, nie skarżył nigdy. Nagabywała Ostapa, lecz się śmieszkami opędział i przekpiwał z brata.

Więc i poniechała.

A wiedział bez pochyby! Coś było między nimi, jakiś się supeł nieludzki zawęzlił w osierdziach i zczepił obu tajną pętlicę, której końców nie wydoliła zachwycić. Wonton potrzebował Ostapa; łaknął jego beztroski, szydneho śmiechu i — dziwna — jakoby rad słucał, bezbożnych natrzasań.

Wtedy zdało się nabierał otuchy; odchodził, tajał stęgły na czole ból, marniał wieczny lęk leżący się w oczach.

Tak było na małą chwilę. Za jakiś czas znów wyczołgiwała się z przekłętej nory zgryzota i zapuszczała w duszę drążące zagony. Na ostatek począł pić.

Pił dużo, łapczywie, jak na śmierć i jakoś nie mógł upić się ni razu; rankami wracał w obejście trzeźwy jakby nic i ruszał w pole na robotę, chmurniejszy jeno niż wczora i głębiej pochył on ku ziemi.

Tak i przekoczyło się z pół roku: ziemia odjęłaś lodowej obieży, prześcigła wiosenka, ładziłoś na drogę lato miłościwe...

Pod zmierzch, na wodopój zalatywały z dolin, łąk, wygonów pośpiwy dziewuch, parobów, gdy do dom od dziennych mozołów pilili, poryki stad.

Rodzic Hanczyny dostatnia oborę dzierzył, że dziewczce ponierazu przychodziło się dobrze nagonić, nakrzyczeć, nim to z pastwiska w obejście zawróciła. Litował się jej umęczeniu Wonton i nieraz bywało od roboty wolniejszy zachodził w parów i pomagał spędzać kierdel w opłotki.

Tak ci się i dziś przygodziło. Że już pora była zawracać do domu, przytknął do warg ligawkę i smutna dumka poniosłaś po rosie wieczornej.

Gdy już rozwiały się ostatnie pogłosy, skądś zza wzgórzy, pagórów przewąkroniłoś w lewadę...

Jawor, jawor.
Jaworowy gaj!...
Słysz, jak głucho smęci,
Zżółkłe liście kręci
Dziki, luty wiatr!...
Hej!...

Jawor, jawor.
Jaworowa stroń!
Czuj jak oman chodzi,
Jak w bezdnie zawodzi,
W tajną ślepią chłań!
Hej!...

Jawor, jawor.
Jaworowy strzyg!
Poszedł w ścież zawrotną,
Junosza — wykrotną
Zatracił się ślad...
Hej!...

Wzdrygnęła się Hanka.

— Antek, straszno mi, skądś od wertepu przywiało, od hańtego bugaju.

— Pono... kędy wiedzie Czarcia Perć... Hanuś! to doli mojej znak! Zarechotało złe! Jak dnia jakiego nie wrócę do chaty wspomnij na

odwieczerz ten... To rodzic przed sąd Boży pozywa w klątewną godzinę...

Przypadł twarzą ku ziemi i zwinął się w kłęb.

Słyszała, jak kłapał zębami ze strachu drąc murawę a oczy obłędem nabiegły.

— Antek! miejże Boga w sercu! a cóże robisz nieszczęśniku?... Jać przeznac doli, nie przeznam, ale ci rzekę, że rychło nastanie odmiana i nam może miłościwsze jutro zapłonie. Za dwa dni święcim gody słońka w noc uroczną Soboty. Dziew boże stado zawiedzie święty wian, kupalnych ogni kolisko... Kralicą pośród stanę, wianeczek pierwsza na wody cisnę; ty złów a będziesz mój... Antek! cóże ci to?... W rusalnym zdroju ocudzim się, zbędziemy winy na szczęśny życia znój... w świątalmym żarze otrząśniem z niemocy w sobotni cudów czas, gdy ładoń w męża tęźnieje... Antek! w noc czarów zajdziemy w las po kwiecie, co, dolą darzy, paprotne ziele... razem... Ino się nie ulękni!

— Darmo, darmo cieszysz; nie dla mnie ono wyrośnie, nie dla mnie... Z innym pójdziesz na szczęśnej doli łów.. Nie lza, za późno...

I z bólem okrutnym podjął ją za kolana...

— Chi, chi, chi!... — zaniósło śmiechem i z leszczyny wychynał czegoś wielce zweselony Ostap.

— Wonton!... Chi, chi, chi!... Nowinę niosę — uradujesz się ździebko samostrachu! Stary skapiał! A jakże... do cna... jutro na cmentarzyk wywłoką. Chi, chi, chi!... Ot i wywróżył... jeno sobie, nie nam... Nuże, zaliś osłupiał?!...

Wonton słowem nie odparł, jeno oczyma błąkał po bracie, niby po obcym; wreszcie zwiesił w zadumie głowę ku ziemi...

Aż coś snadź mu zaświtało od nowa, bo wpił ręce tak krzepko w ramię Ostapa, że syknął z bólu:

— A ja ci Ostap powiadam, że to nic. Jeszcześmy nie po drugiej stronie... jeszcze nie minęła pora... Przeczżeś wesoły?

Lecz tamten już się rozeźlił.

— A zmarniejże w tej udręce, skoro ci się tak zachciewa, ino mnie przyostaw w spokoju! A toć powiem w przydatku, że się z godami ładzę pod jesień. Pojoneś Wonton?.. pod późną jesień, na przekór... Obaczmy kto z nas przeważniejszy: ty, nie!... chciałem rzec wy — czy ja?...

Słabo już pełgotała czerwień spomiędzy pni, zgarniając resztę ogni pod ziemię.

Ponad głowami wszczęły przedmierzchowe kwilenia lelki, cmentarne przyzywy puchacze... Z bajorów dźwigały mleczne cielska mgły wieczorne, skłaczały się w odęte buły i płożyły po polach. Od stawisk przygnały wiatrowe podmuchy gawędę żab...

Na trakcie pędziło trzodę owiec troje ludzi. Widno spóźnili się mocno, bo żwawo pomykali na wieczerzę. Przyjęła ich wieś kręgiem lśnień watrzanych...

Czarci Skok

Zapuciło jesienne słonko złotooki niewód pomiędzy pnie rapatych jesionów, jaworów, spławiło w czerwonej topieli zrudziałą usłoń rozkali.

Na zachód mu było, na rychły — po znojnej, latowej zgorzeli, na zbożny, późny wczas... Więc gasło.

Zagrała żagwicami wirchów debra, miotnęły się w niebo wyzewem krzesanice...

Poniknąć im było za chwilę, zanurzyć się w nocnej omroce... Więc płomieniały pod koniec. Już chyłkiem pełzał po zboczach zdradliwy ćmuk, podlizywał stoki, zarzucał ponure więcierze w głębiny pieczar...

Tylko hań górą na przełęczu jasno było i krwawo. Spodem w rozpadli gruchotała po zwirowisku woda głęboko, że pod mrok okiem nie dojrzysz. A po dniu strach patrzeć; parów bo do cna zjeżony iglicami graźni, co od dołu się stożą i od samego wejrzenia kołają. Toż i nikt nie zaglądał w roztokę, gdy mu przełękiem droga wypadła.

Przerzuciała się powyż ścież ściągała jak dziewczuszyna przewiązka, stroma, wyboista: chyba biesowi poręczna, gdy pod nockę wiatrową do kochanic w zaloty wędruje. Nie darmo Czarcim Skokiem nazwano.

Rzadkość i nieochotnie puszczali się ludziska tym zawodnym wykrotem, chyba że na czasie zbywało a pośpiech przynaglał. Właśnie widniał żywo, zatopion w powodzi słońcowej, jak skrzącą zaworą sprzęgał skalne wirchowiska.

Po brzegach wgłobiły się w opoczyste podglebie szaroty, zazierały w otchłań nieuleknione badyle czartopłochu. Drapieżna krasa była i twarda. Nie dziwota: orłowe grodzisko... Znała na grzbiecie od lewicy ozwały się wartkie stapania i głosy; ludzie widno nadciągali ku perci. Jakoż i przyspiali niebawem zamajaczywszy w żlebowej gardzieli. Odprowadzał Wonton Ostapa na gody, jakie miał nazajutrz z gospodarską dziewczką odprawiać a że już spóźniona zdała się chwila, zasię przed weseliskiem trza było jeszcze coś niecoś przyładzić, przeto rzucili się przełęczą z kielza przemierzając drogę.

Młodszy szedł w poprzód cały w pośmiechach, zradowany szczęsną żeńbą — Wonton z nawisłą głową z zapamiętaniem jakowemś

naśladował kroki bratowe.

Lica schylonego widać nie było ni oczu, lecz kiedy od czasu do czasu prostował się w górę, postrzegał twarz ziemią bardziej niż ludzkim ciałem patrzącą, w jagodach, zapadłą jamami, przeżartą. Tylko źrenice mu pełgotały gromnicznym światłem gdzieś głęboko, głęboko w jaskiniach oczodołów. We wsi gadali, że człek to już strawiony do przyciesi. Bo i prawda: ostatkami gonił...

Dziwnie bo, dziwnie bywa na tym tu ziemskim postoju i przeróżne ludziska snują się po obłądliwych lasach świata tego.

Idzie ci człek, idzie niby narokiem, aż tu się nie opatrzy, gdzie i po co zawitał. Na pokaz własnowolny, a w rzeczy jako to łątko konopne, wiatrów igrzysko napolne. Wije się to krąży, a w koło, a w koło wartoli... Dolo ty, dolo człowiecza...

Przywrze niejednym wierzeniem do czegoś tak krzepko, rozeprze się skalnym zamczyskiem w posadach tak rozłogo, że go stamtąd nie wyruszyć. A wierzenie owo rozliczne. Jeden się klnie Bogiem, drugi biesowi przykłoną cześć niesie, poniektóry z innymi się siłami zмага.

Zakłęci owych mocy wyzwiskiem najcięższym mozołom wydolą, jakby wsparci na tajemnych barach po szczyrby reglowe się dźwigną.

Nie odgadniesz pono nigdy, kto ich tak mocarzy — one władzy ciemne, którym zawierzą, czy własny duch wierzeniem stalny?

Bo znikąd nie wiesz, zali są naprawdę.

Może to z człeka własnej duszy na świat wychodzą mocarni?

Jeno że sam inędy źródlika dopatruje.

O takich mówią, że z Bogiem abo ze złym społecznie trzyma. Lichoć tam przezna, z kim — może i z sobą samym?..

Ale bywa też ponierazu owo zbratanie we wierze straszne dla ludzkiej doli, gdy wyświęci swą wtórą wywrotną stronicę.

Wtedy obraca się na sojuszników i wspólnym, świętym słowem o ziem powala wierzących.

Tak też bywa, gdy klątwa zawiedzie piorunową chmurę nad głową tego, co jej wiarę daje.

Na to piekielne pozwanie bogi tajne jakoweś, wspólne obojgu bożyce stawić się muszą, by świadczyć ich wierze potęgą karzącą...

Bo nie przeklnie nigdy ten, co nie wierzy...

Tak ci się zawiązuje wspólna, klątewna sprawa między tą trójcą

nieładką i toczy się, toczy, aż spełni...

Zaś spełnić się musi, bo wierzą.

A może i nie ma trójcy, nie — powstał i ślad tajnych mocarzy jeno dwa duchy człowiecze wzajemną się siłą wszechwładą...

Boć nie przenikniesz, czy Bogiem klnie, czy duchem własnym. Na jedno wyjdzie — byle wierzyli. Kiedyś, po wszystkim powiedzą ludzie:

— Bóg skarał.

Czy po prawdzie, nie wiada. Może sam siebie. Może go własna dusza spełnić klątwę niewoli. W mrokach bo brodzim wszyscy, we mgławych i nikt nie pewien, dlaczego.

Bywa i druga moc duszna, po równo straszna i władna. Potęgą niewiary. Choćby go ojciec, mać rodzona na sąd Boży pozwal, klątwą obrali, nie mu to — zurąga i dziwo: nic mu się złego nie przygodzi. Bywają, bywają ostapowe ludziska!

I ci mocarni, przewładni lecz zda się inaczej. Mroczno bo pośród nas, ćmawo i wieczyście bytujemy na oparzeliskach młaczanych, bez postanku dymiących, mglicami zasnuci, że brat brata w poćmie nie odróżni. Ziemi posieleńcy!

Jedno z tych odpadów wyziera, jedno krwawiącym ślepiem łzawi: krzywda! Okrutna, bezwinna krzywda ludzka!..

I to powieczne pytanie: — Przeczże? Dla jakiej przewiny?

Pytał i Wonton, wypatrywał od roku, od onej godziny i po dziś dzień nie odzierzył odparcia. Więc zmarniał do szczętu i spiołuniła mu dusza...

Weszli na Czarci Skok.

— Ostap! bracie daj rękę, cno mi jakoś wedle osierdzia!

— Naści boju! a dierz się krzepko!

— Bóg zapłać — tak raźniej...

Szli dalej. Ostap, co przodował, trzymając w podanej w tył ręce dłoń brata, rzucał po wirchach spokojne wejrzenia, zagłębiał rysie oczy w żlebowe kotliny. Wtem poczuł, że ręka Wontona poczyna dziwnie jakoś drzeć w jego, ni to by ją coś wyrывało, ni to sam swobodził... Porazu wywinęła mu się z garści i w owejże chwili posłyszał za sobą nagły szmer, jakby kto drugiego ze śnieży w chłań strącił... Wartko się obejrzał; Wontona już na perci nie było, jeno tam w dole rzuciła mu się raz w oczy ostatni bratowa opończa...

Bez krzyku go zmiotło, bez jęku.

A był to dzień Ofiarowania Przekzystej Paniienki, gdy już liście
rzęsnym pokotem zalega, słońko u stoku się waży, a po polach, po
szerokich porozwiesza mgławce czechła jesienny, cichy smęt.;

Ostap przyostanowił się.

— Stary-li to, czy sam?

Hm!...

i krzyknął w bezdeń.

Głupi ty! — a przecześ wierzył!?

Rechotem odgrzmiały skaleniska.

Postał jeszcze czas jakiś na samym środku zawrotnej przełęczy
jakby na wyzywy, z urągiem... czekał, aż się słońko w niż pokładzie.
Wtedy zaniósł się śmiechem raz jeszcze i gwizdając puścił w drogę:
Spieszyło mu się na weselisko; najcudniejszą dziewczkę z sioła w łóże brał
— Ksenię czarnobrewą.

19 stycznia 1908

Podzwonne

Pogrążyli się w wieczornej zadumie.

Gwar miasta dochodził tu tylko stłumionym podźwiewkiem, odcięty od zacisza plebańskiego sadu grubym trawiastym murem. Tylko tam, na drugim końcu przerywała go wąska bramka z żelaznych krat i przesuwiała przed oczyma fragmenty życia ulicy. Od czasu do czasu przeciągały ze śpiewem grupy podochoconych żołnierzy w skórzanych koletach pobrzękując niedbale opuszczonymi rapierami, mignęło puszyste pióro w szerokich, bujnych liniach wygiętego kapelusza, załopotał płaszcz rycerski...

Od czasu do czasu zaszeleściła aksamitnym trenem sukni wstydliva mieszcza spiesznie zdążając do domu, przeszła poważnym krokiem gromada rajców, zaczerśniała dostojna postać matrony...

Gdzieś na rogu kuglarz — linoskok wyginał gibkie ciało węzowym ruchem, lśnił pośród gawiedzi łuską pstrokatej odzieży... A dalej — dalej dymy się wiły wieczorne i słońce łuniało na dachach...

Od sadu przy wiewały surowe obrzaski świeżo skoszonej trawy, wynikały wilgne wydzieliny ziemi. Przed godziną spadł deszcz i zmokrzył drzewa, murawę, kwiaty iż nabrały połysku i miękko stonowały się z soczystą czerwienią zachodu.

Jedwabne cienie zachodziły falami w zroszoną ruń darni oddając kapryśne ruchy wiatru, powikłane kontury drzew dzierżgały zmierzchową sieć dziwów. Pośrodku niby puklerz koralowy padał odbity od witrażu przyległej fary płomienny refleks słońca i przygasał powoli. Mętniało na dworze...

Na twarzy księdza Pawła jaśniała cicha pogoda; siwe oczy mistyka spoglądały z wyrozumiałością w pieniący się wir życia, pełne miłości i współczucia ogarniały roznamiętniony świat zmysłów tłumacząc wszystko, przebacząc bez końca. Inaczej patrzył dziś w miasto przyjaciel ojca Pawła i powiernik, dzwonnik Sebastian. Subtelna twarz rzeźbiarza, okolona ciemnym zarostem tchnęła wysiłkiem woli, która lada chwila miała ustąpić pod naporem nowych tęsknot, krańcowo

różnych od tych, jakie dotąd rozskrzydlały duszę.

Był to wieczór przełomu i buntu, rozstajne drogi dwóch duchów do dziś dnia spojonych przepotęzną siłą; odtąd miał każdy pójść swoją drogą.

Prawie rówieśnicy wychowywali się razem, wzrastali w spólności poglądów i idei. Paweł z natury mistyk poświęcił się stanowi duchownemu i od lat paru mieszkał przy farze, gdzie wkrótce po wyświęceniu zasłynął jako kaznodzieja i spowiednik. Sebastian nie chcąc się rozstawać z przyjacielem objął obowiązki dzwonnika a w wolnych chwilach uprawiał rzeźbę i plastykę. Miał duszę dziecka, rozmiłowaną w pięknie wiary i Boga, rozśpiewaną dźwiękami dzwonów, zasłuchaną w melodie serafów. Takim go znał ksiądz Paweł od dawna, takim ukochał i wymarzył. Sebastian był jego ideałem, tą jedyną duszą bez skazy, której szukał i wszystkie swe siły wyteżał, by ją utrzymać na śnieżnych wyżynach.

Wytworzył się między nimi niezwykle, rzecz by metafizyczny stosunek. Najłżejsze drgnienia myśli przyplływały ku sobie niewidzialnymi falami, przenikały się harmonijnie w zawsze czystym, nieskażonym oddźwięku. Z ust Pawła szły archanielskie tchnienia i uderzały w bratnią pierś harfy dzwonnika, by stąd wzmocnione radością piękna wzbić się ku górze stustrunnym hejnałem. Rzeźbiarz brał twórczą myśl przyjaciela na białe skrzydła swej sztuki i niósł gdzieś w zaświaty, tam, gdzie Aniołom i Bogu przybytek.

Paweł postanowił stosunek zacieśnić, przykuć go do siebie nierozzerwalnie, zanim inne siły uprzedzą. I połączył ich Archanioł Michał, wielki, święty wojownik, twór myśli i dusz obu, dzieło rąk Sebastiana.

Zawiesili go w locie olbrzymich skrzydeł nad głównym ołtarzem farnego kościoła.

Dzwonnik rzeźbił posąg dwa lata czerpiąc natchnienie w rozmowach z przyjacielem, w skupieniu modlitwy.

Po kilkakroć hartowane kuny przytrzymały niewidzialnie ciało bohatera zastępów; w razie potrzeby dawały się odpiąć a statua ześlizgiwała się lekko po blokach umieszczonych za baldachimem podniebia.

Urządzenie to uważał mistrz za konieczne do odprószania i naprawy

nadwyreżonych części. Tajemnicy mechanizmu jednak nikomu prócz Pawła nie powierzył z obawy, by niezręcznie, lub za szybko puszczone maszyny nie spowodowały fatalnego runięcia ze szczytu.

Raz do roku wprawna dłoń sprowadzał posąg ku dołowi, oczyszczał z przędzy pajęczej, przywracał pierwotny blask przyćmionej kurzem szacie. I znów ważył się pod arkadami z bożym zapałem w źrenicach, z rozwianym włosem niebieski witeź.

Pamiętnym był dzień, gdy po raz pierwszy w pustym kościele zawiesił promienny dumą i szczęściem twórcą plód pracy serdecznej.

Stali cicho wpatrzeni w święty ogień lic chrobrych i gromki ruch prawicy, gdy w szatana godzi — radośni, zdumieni pięknem dusz własnych, nadziemscy... Archanioł Michał!

I zawarli ślub wielki, ślub duchów i wzmocnili przysięgą. Na życie na całe, długie, ludzkie życie, które odtąd miało być święte i nieskalane, w miłości ku Bogu i ludziom a ziemskich rozkoszy płone. A On był świadkiem i przysięgę odebrał..

W życiu duszy można odróżnić pewne zakresy, do których jedni odnoszą się z najzupełniejszą obojętnością, czy raczej oschłą niewiarą, drudzy całą swą jaźnią tkwią w ich otchłannych tajniach. I oto w całej krwiożerczej pełni rozwija swe znaki brutalność bytu! Owi „wolni”, obojętni, nie krępujący się żadnym względem uchodzą bezkarni, z demonicznym chichotem pełniąc najokrutniejsze zbrodnie, by często drugich wplątanych w nie tylko przypadkiem wciągnąć za siebie w ziejącą potępieniem czeluść.

Przekleństwo i kara tym, co wierzą!

Wiara twoja zgubiła cię!

Niechaj drży wierzący grzesznik!

Lepiej zerwać wszystkie pęta, które spowijają duszę, niżli zostawiać najwęższe włókno, bo i to zawlecze w odmęt zagłady. I najdrobniejsza iskierka, tlejąca głęboko pod popiołami niedogastej wiary wznieci dnia zemsty pożar zatracenia.

Książd Paweł i Sebastian byli to ludzie wierzący. Ślub, jaki zawarli, mógł się stać dla obu groźnym, szczególnie dla tego, który go głębiej pojmował.

Gdy w ów święty wieczór dusz swoich opuszczali świątynię, maj cudny rozkwiecił sady, uzielenił łąki i pola, rozwinął pęcze. Sypały rżęsną

ulewą płatków jabłonie, rozwodziły zawrotne wonie bzy, jaśminy, upajały się chwiejbą wiatru magnolie. Po ulicach przemykały drżące rozkoszą pary kochanków tuląc się w wiosennym pragnieniu, oplótszy za ręce.

Sebastian czegoś posmutniał. Lecz już wzywał go za sobą w podniebne szlaki poważny głos księdza:

— Od dziś dnia każdy z nas odpowiada za drugiego. Odebraliśmy wzajemną przysięgę, weszliśmy w obręb święty, którego bezkarnie znieważać wiernym nie wolno. Jeśliby który z nas złamał śluby, drugi zań odpowie ofiarą oczyszczenia.

— Zdaje mi się jednak, żeby odpowiedzialność znikła, gdybyśmy przestali wierzyć?

— To prawda — nawet, choćby tylko jeden. Ale musiałyby to być szczere. Rozumiesz mnie? Zupełna niewiara!

— Tak... lecz do tej nie jesteśmy zdolni...

— Dlatego musimy się mieć na baczności! Służymy wieczystej harmonii duchów. Biada nam obu, jeśli który się zmącić ją poważy!...

Głęboko zamyśleni rozstali się.

Odtąd minęło parę lat. Ślub zda się istotnie silniej jeszcze zespolił obu. Lecz miały nadejść przemiany.

Względem innych zawsze wyrozumiały i łagodny okazywał się Paweł od czasu tajemnego związku w stosunku do przyjaciela wymagającym, niejednokrotnie surowym. Sebastian wychowany niemal od dziecka pod jego wszechwładnym wpływem, usuwany od ponęt zewnętrznych nie zdawał się zrazu odczuwać krępującej opieki; nie obudziły się w nim jeszcze pewne odruchy duszy. Chwilową melancholię nawiedzającą go czasami umiał przyjaciel skierowywać w obranym kierunku, rozniecając w nim nadziejską ekstazę i miłość. Wreszcie jednak uśpione do czasu siły rozpoczęły ciche, prawie niedostrzegalne, lecz trwałe w skutkach ruchy.

Pewnego dnia uczuł się rzeźbiarz ogromnie samotnym. Przyszła myśl, że, choć dotąd życia nie używał, mógł przed złożeniem przysięgi w każdej chwili upomnieć się o swój dział, sięgnąć po kwiat szczęścia — był piękny i młody. Po tym, co zaszło u stóp Michała, miał już drogę zamkniętą. Niebotyczne mury zawarły go w przybytku skrzącym świeżością kryształów, tęczami kaskad, lecz lodowo zimnym. Przejął go

dotkliwy chłód marmurów, raziała do ślepoty biel alabastrów. Na krzyk rozpaczliwy serca otrzymywał niezmiennie w odpowiedź głucho echo olbrzymich, pustych komnat. A tam za witrażami framug świeciły się gody życia, mijały słoneczne, złote popołudnia. A tam za draperiami okien obdzielały szczerze wonnym łonem róże, prześcigały w daremnym utęsknieniu za śmiałą dłonią rzesne grusze.

Więc jak ptak uwięziony zabił o szyby, zatrzepotał o kraty i po chwili walki opadł na dno klatki. Wiara nie pozwalała rozpełtać skrzydeł.

Wśród tej rozterki poznał Martę i zrozumiał, że był mężczyzną.

Była tancerką z wędrowniej trupy cyrkowych wesołków. Gdy smagle ciało kreolki wić się jeło w lianowych zawrotach sarabandy, przesycony koszenilą szal opasywał głowę szkarłatną wstęgą, niemiałe tłumy i z zapartym oddechem chłoniły taneczne przeguby. Była jak tuja opleciona czerwieniejącym winogradem jesieni.

Spłynęła doń wieczorną godziną z promieniem zachodu, zawitała w progi samotnego domu jak chwila kryjoma, jedyna.

— Przysłał mnie twój wielki Archanioł..

Pawła w mieście nie było: wyjechał na czas dłuższy. Gdy wrócił, już się stało. Mógłże się opierać?

Było smutne, chore szczęście. Błada radość słońca na żałobnych złożach chmur nadciągającej tuczy.

Sebastian nie przestał wierzyć w świętość przysięgi. Słowa Pawła przerzynały w czarnych, niepokojących liniach świetlany wzorzec miłości...

Postanowili opuścić miasto i pójść na południe między gaje cyprysów, pomarańcz ogrody. Tej nocy. Tymczasem ostatni wieczór poświęcił Pawłowi.

Czy się czego domyślał, przeczuwał?

Nie wiadomo. Oto twarz oparł na dłoni i mówił:

— Miałem tej nocy dziwny sen. Przyśniło mi się dwoje bliźniąt nieszczęśliwym trafem zrosniętych piersiami. Po jakimś czasie okazało się, że jedno z nich jest porażone wstrętnymi krostami, które poczęły je niszczyć w gwałtowny sposób. Chcąc ocalić drugie, należało rozdzielić je. Lekarze uznali rzecz za niemożliwą. Zbadano, że miały wspólne serce, a chociaż tkwiło całe w piersi zdrowego, to przecież włókno łączące je z chorym musiało w razie odłączenia ulec zniszczeniu i zabić drugie. Tak

więc skazane były oba na zagładę. Pomyśl... przez jedno małe włókienko!
Fatalne!

Sebastian badał uważnie twarz mówiącego:

— Cóż dalej?

— Dalej?... Cóż chcesz?... Wynik jasny. Widziałem z przerażeniem okropny zanik jednego, który przeniósł się z kolei na zdrowe. Obudziłem się właśnie w tej chwili, gdy choroba docierała do serca...

— Istotnie — mruknął dzwonnik — Istotnie... — i dodał ciszej:

— Dziwne podobieństwo!...

Zmierzchno się zupełnie. Paweł powstał i wyciągnął dłoń na pożegnanie. Uścisnęli się: jeden jakby z niemym wyrzutem, drugi na długie, może na zawsze rozstanie.

W chwilę potem rzeźbiarz siedział już sam przed domem.

Księżyc snuł już od jakiegoś czasu odwieczne marzenie o sennych płasach, srebrnej zadumie, tęsknocie, zlewał bladą łaskę bezsiły na szpalery jodeł i kasztanów. Wśród krzewów różanych wzbijały się świętojańskie czerwce lśniąc ognikami marnego szczęścia. Skądś mgły się uniosły i tuląc pnie drzew w rozwiewne szale, strzępiły pierś mleczną na sękach. Gdzieś słowik zanosił od jęku...

Za kratą furty zamajaczyła wiotka postać.

Nareszcie.

Poszli szybko w stronę przedmiejskich bulwarów. Miasto już spało. Tylko z przydrożnych winiarni wypadały na chodnik światła lamp, pochodni, szły chrapliwą wibracją melodie piosenek.

Wstąpili do ostatniej, najbardziej wysuniętej z miasta, od której zwykle rozpoczynał drogę pocztylion. Miał wyruszyć dopiero po północy, więc czasu było dużo. W oberży zastali cygańską kapelę wrzaskliwą, lecz namiętą. Ścisk był ogromny i dym przesłaniał wszystko, że zaledwie znaleźli miejsce za stołem.

Pieściwe tony skrzypiec, fletów, zmieszane z chrzęstem brząkaadeł, grzechotek zagrały współdźwiękiem w duszy Marty: poczęła tańczyć.

Rozstąpiono się.

Krótką przygrywką. Parę urwanych, drapieżnych rzutów i... wkoło... Tors dumny, królewski... Purpurowy szal.. Gest pyszny, szeroki: kreolka!...

Zwolniła biegu... drzemią pożądaniem struny... koła węższe, do

środka... znieruchomiła!...

Hej krwi ty moja, krwi szalona przelewaj brzeg, srom biały łam!
Płomieni jestem córa! Hej krwi ty moja, krwi!... oszalej, zagraj, pluszcz!
Jak żagiew ogniem zionę!...

Wirry, skręty, zgiełk!... Poniosła się w tan. Orgia zgieć, przekłonów,
sploty ramion, wstęg, włosów wichur złoty! I ten szal czerwony, ten
czerwony szal!...

Błyskawiczne zetknięcie się źrenic...

— Co mnie i tobie niewiasto?...

Ból, przepaść, uwielbienie! Archanioł Michał!

Święty czysty... mój! Wzburzonej krwi hołd, przepokorna skrucha...

Nie!... Prawda jest we mnie!...

Cudny odrzut głowy, obłąków warg... Kto przemoże?

Jam pantera płowa!

Tam łysło za oknem?... To nic... powiodę!...

Znam czarów ogrody, miłości raje.

Znam źródła przesłodkie, upojne ostoje,

Snów boskich przedziebną tkaninę...

Pójdź!

Tam grzmiało za oknem?... Nic to!...

Żar parny, spragniony posytu, żądz szwały

Znam ciała rozdraganą chuć młodą, tęsknoty

Pieszczotą na łożu zciszone...

Pójdź!

Wichura drzewa druzgoce?... Jam silna!

Pieśni ci zagram, ukołyszę łonem,

Gdy wrócisz strudzony po pracy,

Rozplotę włosy, wezłowicie wyściele,

Liliami, różą wymoszczę... Ha!.. Co to?!..

Przypadła do kochanka.

Przez nagle rozwarte drzwi tylnej ściany bryznęły strugi deszczu i w progu zaczerniała księża szata. Był to ojciec Paweł przemoczony do nitki, wybladły. Około północy zbudzono go nagle i zawezwano do umierającego. Porwał się z posłania i zabrawszy, co najpotrzebniejsze, bez płaszcza w towarzystwie nieletniego chłopca poszedł. Droga była dość daleka, lecz noc widna jak w dzień. W powrocie zaskoczyła go

burza. Na oślep, nie wiedząc, gdzie zmierza w ciemnościach, dopadł drzwi pierwszego z brzegu domu. Teraz spostrzegłszy się chciał już zawrócić, gdy wtem oczy jego padły na Sebastiana i tancerkę tulącą mu się w objęciach.

Twarz księdza na moment przeorała bezsilna rozpacz. Lecz już w następnej chwili opanował się i nie cofając już więcej postąpił ku nim.

— Sebastianie, czy uczyniłeś to ze straty wiary? — Sebastianie! czy przestałeś wierzyć?

Rzeźbiarz milczał. Wiedział, że chwila jest stanowcza, lecz i święta. Przed tym przesywającym, jasnym wzrokiem nie śmiał kłamać, nawet... choćby go ocalić. Więc po długiej chwili odparł cicho.

— Nie...

Wściekły kurcz chwycił go za szczęki.

— Przebacz!... lecz nie mogłem inaczej...

— Dziękuję ci bracie. Bądź spokojny: ja Go ocalę. Przywrócę zachwiane przymierze. A ty bądź z nią szczęśliwy, jeśli tylko... zdołasz...

Uśmiechnął się.

Zanim dzwonnik znalazł siły na odpowiedź, księdza Pawła już w sali nie było...

Tymczasem na dworze wyjaśniło się na nowo i księżyc kończył przerwana wędrówkę.

Muzyka gdzieś się wyniosła, ludzie porozchodzili. Tylko po kątach drzemali podróżni w oczekiwaniu na pocztę.

Sebastian głucho patrzył w sufit nie zwracając uwagi na Martę, chociaż usiłowała bezskutecznie wywieść go z ociążałej zadumy.

Tak minęło parę godzin.

Nagle zagrała trąbka do odjazdu. Powstał jak ze snu i pod pozorem, że idzie umówić się o miejsce, wyszedł z austerii. Za bramą skręcił ku miastu; pędziło go w stronę fary.

W pół godziny był na miejscu. W kościele świeciło się: ujrzał nikły blask świecy przez otwarte podwoje. Jakby tylko chcąc coś stwierdzić naocznie zajrzał do środka... Przykro zaśmiał się:

— Wiedziałem.

Ołowianym krokiem skierował się ku dzwonnicy. Była może trzecia nad ranem i kury już piałły trzykrotnie. Nad miastem wyciągała leniwe ramiona przedświtowa cisza, poszczekiwały psy spuszczone z łańcuchów, przecierały się mgły nad rzeką. Z dachów ściekały sennie łązy dżdżu nocnego, w kadziach chlupotała mętnie deszczówka. Na wschodzie gwiazdy wtapiały się w błękit...

Wtem jęknął głos dzwonu: samotny, ochrypły... Ktoś bił na trwogę. Już dwa grały, trzy... wszystkie. Szły w ulice spiżowe tarcze dźwięków i uderzywszy o się z gruchotem roztrzaskiwały o mury... Nowe kłęby rozdrzanego powietrza, wściekły rozmach oślepych falang i znów rzegotanie zderzenia... Obłąkały się dzwony...

Zbiegli się ludzie z pochodniami na dziedziniec fary... Kościół stał szeroko rozwarty. W pośrodku, u stóp wielkiego ołtarza leżał w posoce krwi ksiądz Piotr ze zdruzgotaną czaszką, trzymając w objęciach Archanioła Michała, który go okrył złotymi skrzydłami. Szczególnym trafem posąg runąwszy ocalał: spoczął bezpiecznie na ciele księdza rozgniatając mu głowę ciężarem własnej.

A tam na dzwonnicy pieniała się wietrzyca dźwięków, targały opętańcze sznury, tłukły rozhukane serca.

Dzwonnik od fary oszalał...

25 maja 1908

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Puszczyk](#)

[Wampir](#)

[Szalona zagroda](#)

[Pomsta ziemi](#)

[Klątwa](#)

[W godzinę chuci](#)

[Na lewadzie](#)

[Czarci Skok](#)

[Podzwonne](#)